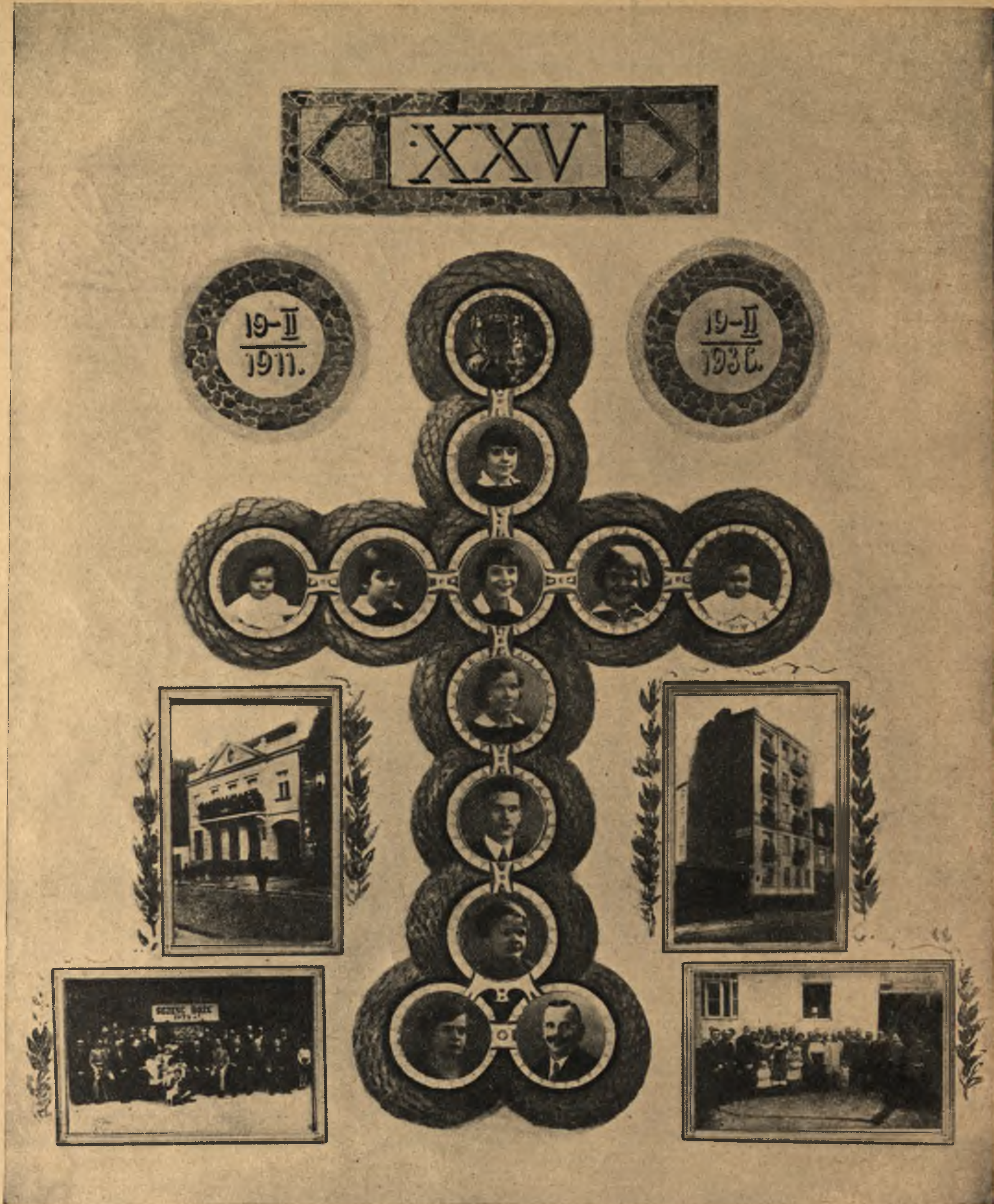
RODZINA

polska



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA
ROK X KWIECIEŃ 1936



PIĘKNA PAMIĄTKA 25-CIOLETNIEGO JUBILEUSZU PEWNEJ KATOLICKIEJ RODZINY W WARSZAWIE. NA OBRAZKACH MATKA BOSKA CZĘSTOCHOWSKA, RODZICE, DZIECI I DOM RODZINNY.

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE W P. K. O. W LUTYM 1936 R.

W miesiącu lutym wkłady oszczędnościowe, jak również liczba oszczędzających, wykazują dalszy poważny wzrost.

Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 7.124.401 zł., osiągając na dzień 29 lutego 1936 roku stan 700.064.380.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu lutego roku bieżącego P. K. O. wydała 48.277 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 29 lutego 1936 roku ogólną ilość 1.973.953 czynnych książeczek.

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Tel. 240.15 WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 71. P.K.O. 14.664

KSIĄŻKI NA WIELKI POST

DĄBROWSKI Eugenjusz ks. dr., prof. Sem. Duch. Warsz. i docent Uniw. Warsz., **PROCES CHRYSTUSA,** wyd. 2, str. 71 .... 1.—

Znany biblista podaje w niniejszem opracowaniu najnowsze wyniki badań nad procesem przed trybunałem żydowskim i rzymskim, dając w ten sposób naukową podstawę do wszelkich kazań i rozważań pasyjnych.

PUCHALSKI Feliks ks. dr., **KAZANIA PASYJNE,** str. 32, cena 1.20
w okresie postu cena zniżona ...—.60

Treść: 1. Chrystus w Ogrójcu; 2. Zdrada Judasza; 3. Chrystus przed Annaszem i Kaifaszem; 4. Biczowanie; 5. Cierniem ukoronowanie; 6. Ukrzyżowanie Chrystusa.

WROTNY-KLIMOWICZOWA, **KRAINA PUSTEGO GROBU,** str. 132 ... 1.20

Osnute na tle ewangelicznego opowiadania ekspresje autorki, znającej dobrze Ziemię Świętą. Spędziła tam bowiem wiele miesięcy i to pozwoliło jej nietylko obejrzeć pamiątki, ale głęboko wczuć się w zdarzenia, które na tym terenie się niegdyś rozgrywały.

MAJEWSKI Alojzy P. S. M. ks., **MIŁOŚĆ WSPÓŁCZUJĄCA, czyli nabożeństwo do Przenajśw. Ran Zbawiciela,** wyd. 7 (19—25 tys.), str. 54, **(na wyczerpaniu)** ....—.40

Broszurka pożyteczna i potrzebna właśnie na nasze czasy, bo Swojemi Ranami chce Pan Jezus ukoić nasze rany. Oprócz głębszych rozważań podaje również szereg modlitw.

ROSŁON Stefan, **NABOŻEŃSTWO DO PRZENAJŚW. KRWI P. JEZUSA,** str. 18 ....—.10

Koronka, litanja i inne wezwania do Przenajświętszej Krwi Pana Jezusa.

GORZKIE ŻALE I DROGA KRZYŻOWA, str. 55 ....—.30

Odnośne teksty, wyjaśnienia odpustów drogi krzyżowej, oraz szereg pieśni wielkopostnych składają się na całość, która doskonale może służyć biorącym udział w rzewnych naszych nabożeństwach pasyjnych.

MAJEWSKI Alojzy P. S. M. ks., **„PANIE... TY WIESZ, ŻE CIĘ MIŁUJĘ“,** str. 81, cena ....—.60

Istota Boga — to miłość. Miłość jest główną cechą twórczości Bożej, a cały wszechświat, szczególnie człowiek, ma być wyrazem Jego odwiecznej miłości. — Wsłuchać się w tę tajemnicę Boga, Jego myśl lepiej zrozumieć, dopomaga nam właśnie niniejsza broszurka.

MAJEWSKI Alojzy P. S. M. ks., **WIĘCEJ UFNOŚCI,** str. 54 ....—.40

Książeczka na czasie. Wskazuje nam nieskończoną dobroć, miłość i miłosierdzie Boga. Jest kojącem lekarstwem dla dusz strwożonych. Uspokaja je co do życia przeszłego, teraźniejszego i przyszłego.

MAJEWSKI Alojzy P. S. M. ks., **KU WYŻYNOM ŚWIĘTOŚCI, Słowa zachęty dla ludzi dobrej woli,** wydanie drugie, str. 52 ....—.40

Złote myśli, podane tu na kilkudziesięciu stronicach wyjaśniają nam, na czem świętość polega i wskazują drogę do tej świętości, dostępnej dla każdego, to jest dobrą wolę.

GROCHOWSKA Wanda, **ZIMA I WIOSNA, W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA,** dwie sztuczki wielkanocne, str. 18 ....—.30

KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA

MAJEWSKI Alojzy P. S. M. ks., **JAK KOCHAĆ JEZUSA!** Książeczka do nabożeństwa **w duchu św. Teresy od Dzieciątka Jezus,** wyd. 13, str. 288...
w opr. płóc., brzeg czerwony ... 1.50
w opr. płóc., brzeg złoty .... 2.—
w opr. skórkowej, brzeg złoty .. 4.—
w opr. skór. watow., brzeg zł. .. 4.50

Obok zwykłych modlitw zawiera szereg wzniosłych próśb o nawrócenie grzeszników, o ducha ofiarności, o powołania kapłańskie, o miłość Bożą, a wszystko przesiąknięte tak odpowiadającym naszym czasom duchem terezjańskim. Piękną treść wieńczy oddanie się pod opiekę tej Świętej i obranie jej za swoją Patronkę szczególną.

CHWILKA WOLNA PRZY JEZUSIE, str. 226, w opr. pł. 1.20

Zbiorek modlitw, zawiera poza Mszą świętą według mszału, przygotowaniem, ułatwiającem spowiedź i Komunję świętą całe nabożeństwo w czasie procesji Bożego Ciała i szereg pięknych i głębokich nawiedzeń Najświętszego Sakramentu.

[MAJEWSKI Alojzy ks. P. S. M.], **BŁOGOSŁAWIENI MIŁOSIERNI,** książeczka do nabożeństwa ku ulżeniu duszom w czyśćcu cierpiącym, wyd. 10, str. 330, w opr. płóc., brz. cz. 2.—
w opr. płóc., brzeg złoty 2.50
w opr. skórk., brzeg złoty ..... 5.—

Podaje prawie wyłącznie modlitwy, w sposób szczególny wyróżnione przez Kościół przez nadanie odpustów, które można ofiarować za dusze zmarłych. Ponadto treść, zawarta zwykle w innych modlitewnikach, nieszpory po łacinie i po polsku, gorzkie żale i inne pieśni religijne.

PAWŁOWSKI B. ks. P. S. M., **KWIATECZEK JEZUSA,** Pamiątka **pierwszej Komunji św.,** wyd. 4, str. 260...
w opr. płóc., brzeg czerw. 1.50
w opr. płóc., brzeg złoty .... 2.—
w opr. skórk., brzeg złoty...... 4.—
w opr. skórk. watow., brz. zł. .. 4.50

Dostosowane do pojęć dzieci uwagi i rozważania na tle słów św. Teresy wprowadzają dzieci już wcześnie na jej „Małą drogę”, wybór zaś odpowiadających dzieciom zwykłych modlitw jednoczy je ściśle z Chrystusem Panem. Ministrantura i bogaty wybór pieśni dopełnia pięknej całości, zdolnej zachęcić nawet dorosłych do używania tego modlitewnika.

Nasze godło i nasze hasło

Godłem wydawnictwa jest stylizowany orzeł z czasów jagiellońskich — symbol złotego okresu naszych dziejów oraz naszego piśmiennictwa narodowego — trzymający mocno w szponach tarczę w stylu epoki renesansu z herbem Stowarzyszenia Pallotyńskiego. Podwójne pole tego herbu nie tylko uplastycznia ideały i zamiary Zgromadzenia, ale jest wyrazem dążeń ogólno-chrześcijańskich. Górna połowa tarczy herbowej na niebieskiem polu ma biały krzyż — znak krajów oddawna chrześcijańskich, w których praca religijna ma zdążać do coraz to szczerszego i głębszego przepojenia życia Chrystusem. Ma się to dokonać pod przemożną opieką Marji, w której barwach utrzymana jest ta część tarczy herbowej. Dolne pole, czarne, ma nam przypomnieć tereny pogańskie, pokryte mrokiem ciemnoty religijnej. Dzięki jednak pracy misyjnej i tam mogą dotrzeć promienie wiary prawdziwej, niby światło gwiazdy, którą widzimy na dolnem polu herbu. Jak jej promienie doprowadziły do stajenki Betleemskiej mędrców ze Wschodu, tak też i nasza rola wobec siedzących w cieniach śmierci — dopomódz do przyjęcia światła Bożego.

Na pograniczu obu pól tarczę przepasuje wstęga z niezapomnianem nigdy, pełnem prostoty i mocy zarazem apostolskiej hasłem św. Pawła (II Kor. 5, 14): Caritas Christi urget nos, — Miłość Chrystusowa przynagla nas — miłość Boża, która w całem dziele Wielebnego Ojca Wincentego Pallotti'ego stanowi zasadniczą i jedyną właściwie pobudkę działania. I ona jest zarazem celem apostolatu Kongregacji. „Powodowani miłością Chrystusa, dążyć mamy,” według Ustaw Stowarzyszenia: „do osiągnięcia jego celu przez usilne starania o pomnażanie, strzeżenie i rozszerzanie wiary i miłości”, najpierw wiary na owem czarnem polu pozbawionych jej światła, a wśród wierzących, o wzrost miłości. Niechże praca wydawnicza, o której stale komunikować będziemy na kartach „Kroniki”, choć w skromnej mierze odpowie pragnieniom Serca Jezusowego, wypowiedzianym z taką mocą przez Chrystusa Pana: „Przyszedłem ogień puścić na ziemię, a czegoż chcę, jak aby był zapalon”.

Nowości wydawnicze bieżącego sezonu

NABOŻEŃSTWO DO ŚW. ANTONIEGO, stron 66, cena —.30

Krótki zbiór ulubionych u nas modlitw do św. Antoniego, zawierający nabożeństwo trzynastu wtorków, nowennę i szereg modlitw do tego świętego.

ŁUBIEŃSKA Elżbieta, **SAM NA SAM Z BOGIEM,** wyd. 2, str. 27, cena —.30

Rozważania, przeplatane mnóstwem cytatów z Pisma św., pobudzają każdego do coraz goręcszego umiłowania Boga i bezgranicznego zaufania ku Niemu.

NEWMAN W. O., **KALISTA,**
powieść historyczna z III-go wieku, opracowała Wanda Grochowska, wyd. 2, str. 218 .... cena **1.50**

Powieść, osnuta na tle prześladowań chrześcijaństwa w pierwszych wiekach. Kalista, poganką jeszcze będąc, staje się wyznawczynią wiary prawdziwej i śmiało idzie na męczeństwo. Przed śmiercią przyjmuje chrzest święty.

W tęsknocie za siłą i mocą, jaką w wyznawaniu wiary świętej daje nam nadprzyrodzona łaska, chętnie zawsze zwracamy się do tej prawdziwej wiosny religijnej pierwszych wieków, która nietylko była zdolna rozpłomieniać do ofiar i poświęcenia pierwszych chrześcijan, ale promieniuje swą niespożytą siłą nawet na czasy obecne. Taką funkcję spełnia w całej rozciągłości ta znakomita powieść. Opowiadał mi pewien proboszcz z diecezji warszawskiej o tem, jak to kiedyś w jego parafji jeden z robotników gniewnie występował przeciwko religji. O uczęszczaniu do kościoła, przystępowaniu do sakramentów świętych nie mogło być mowy. Podsunięto mu „Kalistę" w pierwszem wydaniu. Wziął niechętnie, ale zainteresował się fabułą, czytając powieść wieczorami po pracy. Na drugi dzień już się nie mógł oderwać od książki, wzruszyła go do łez; po przeczytaniu jej sam, bez żadnej namowy, poszedł do spowiedzi i rozpoczął nowe życie.

FRIEDRICH-BRZOZOWSKA Marja, **ZAWIŁE DROGI,**
powieść, str. 463 .... cena **2.80**

Szkicami z życia nazwała autorka swą doskonałą powieść współczesną, i słusznie, bo z całego opowiadania przebija prawda życiowa. Życie tu nie jest piękniejsze, ani też brzydsze, lecz takie, jakie jest w rzeczywistości, pełne trudności i bólów, cierpień duchowych i krzyżów. Cierpienia te chwilowo mogą jak obuchem uderzyć w człowieka, uderzenia te jednak rzeźbią ostatecznie rysy szlachetne w duszach, które po wielu walkach duchowych dochodzą, jak Rena, główna bohaterka powieści, do praktykowania obowiązków religijnych, albo nawet do bram seminarjum duchownego i furty klasztornej. Doskonała sylwetka Jasia i Julka, których prawdziwe powołanie już w świecie utrzymuje na wyżynie. Pogłębienie psychologiczne u głównych postaci znakomite, inne utrzymane w swoim stylu.

SIKORSKI Józef, **KRZYŻ INDJANINA,** sztuczka misyjna w dwóch odsłonach, str. 41, cena —.60

Nawrócenie plemienia Indjan przez misjonarza, który dla ich zbawienia gotów jest złożyć życie w ofierze. 5 ról męskich i jedna kobieca (niekonieczna). Śpiewy.

S. MARJA ALICJA, **PROROK NARODOWY,** str. 47, cena —.80

Dramatyczne przedstawienie przepowiedni o upadku i powstaniu Polski, wypowiedzianych przez największego kaznodzieję polskiego, ks. Piotra Skargę. Doskonała sztuczka, ilustrowana obrazami z Lituanji Grottgera — nadaje się na obchody narodowe i skargowskie z okazji przypadającego w 1936 roku 400-letniego jubileuszu urodzenia natchnionego mówcy.

RADĘCKI Antoni, **DZIEJE ŻYDOWSKIEGO DZIEWCZĄTKA,**
opowiadanie dla młodzieży, str. 63 .... cena —.50

Budujące opowiadanie o dziewczęciu, wychowanem w dostatkach i dobrobycie, ale przez rodziców, nie znających religji chrześcijańskiej. Od towarzyszy zabaw, od służby, ze szkoły wreszcie, a później z uczęszczania ukradkiem do kościoła, dowiaduje się Leńka o Jezusie i łaska Boża silnie porusza tę duszę i doprowadza ją do przyjęcia chrztu. Wzruszające przeżycia dziecięcego serca, już tak wcześnie wystawionego na nieprzezwyciężone trudności pogodzenia miłości i posłuszeństwa dla rodziców z budzącą się wiarą, stawiają młodocianych czytelników wobec zagadnień, których życie współczesne nie szczędzi nikomu prawie, i uczą ich sposobu nadprzyrodzonego oceniania tych rzeczy. Jakże dużo hartu może zaszczepić już za młodu ta książka w duszy młodzieży, która czyta ją z niesłabnącem zainteresowaniem.

LUCAS Józef Ks. P. S. M., **KIEDY MÓWIĆ, KIEDY MILCZEĆ,**
opracował Ks. A. Majewski P.S.M., str. 87, cena —.60

„Pewnego razu", pisze we wstępie autor, „pytano bajkopisarza Ezopa, co uważa za rzecz najlepszą na ziemi. „Język" — odpowiedział. A co za najgorszą: — „Język".

Trafne to spostrzeżenie zmusza nas do głębszego zastanowienia, kiedy mamy mówić, a kiedy milczeć. Książeczka niniejsza w sposób popularny i dosadny, operując przykładami i porównaniami, daje odpowiedź na te pytania. Szereg rozdziałów omawia tak dla nas aktualne tematy, jak np. następujące: Mówimy za dużo, trzeba nam czynów, licz się z każdem słowem, nie mów o błędach ludzkich, nie sądź nikogo, nie bądź człowiekiem dwujęzycznym, nie rań duszy bliźniego, nie zważaj na drobnostki — uwzględniaj drobnostki. Rzecz nadaje się do jaknajszerszego rozpowszechnienia wśród dorosłych.

NIEBAWEM UKAŻĄ SIĘ:

1. Praca zbiorowa **Księży Profesorów Un. Warsz. O NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.**
2. **Ks. Biskup A. Szlagowski, MOWY AKADEMICKIE,** serja druga.
3. **Ks. F. Gryglewicz, WYCIĄGNIĘTE RAMIONA,** wspaniała powieść współ.
4. **Ks. A. Majewski P. S. M., KLUCZ DO BRAM WIECZNOŚCI.**
5. **" ŚWIATŁA I CIENIE ŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO.**
6. **" KWIATKI BOŻE,** Książka dla dzieci.
7. **Wanda Grochowska, DZWONKI,** opowiadanie dla dzieci.

POWYŻSZE DZIEŁA POLECA: WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW
WARSZAWA, Krak. Przedm. 71. P. K. O. 14.664

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
RODZINA POLSKA

ROK X. WARSZAWA–KMIECIEŃ 1936. Nr. 4.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZMARTWYCHWSTANIE PAŃSKIE



Gród święty na góry stokach
dźwigał się w mroków poranka;
zórz czerwień lśniła w obłokach,
jak krew niewinna na zwłokach
wielkanocnego Baranka...

A w smutku szły i w żałobie
Salome z Marją z Magdali
i cicho mówiły sobie:
„Głaz ciężki leży na grobie!
I któż nam, któż go odwali?

Któraż z nas głaz ten poruszy?
Niewiasty słabe jesteśmy!
Przynajmniej z serca i z duszy
głaz ciężki naszej katuszy
odwalmy precz i podnieśmy!..."

Płaczą w zwątpieniu, w tęsknocie,
przez ścieżki idąc znajome...
Już się zbliżają ku grocie, —
nagle na drogi nawrocie
staje zdumiona Salome.

I mówi do siostry Marty:
„Czy prawda? czy mi się marzy?...
Grób wdali widzę — otwarty!
Rzymskie zniknęły gdzieś warty!
Anioł tam stoi na straży!"

Anioł złotemi rzekł usty:
„Nie szukaj Go, Magdaleno!
Grób Jego dzisiaj już pusty:
same całuny i chusty
w grocie zostały dziś jeno!"

„A gdzież On, Pan nasz nad Pany?
W jakim On domu pozgonnym?
Przez kogóż On nam zabrany?
Ja Jemu obmyć chcę rany,
olejkiem skropić Go wonnym!"

„Tyś Mu przyniosła wonności,
gdy z wami za stołem siedział:
dziś On znów wśród was zagości,
bo w świcie rannej światłości
zmartwychwstał, jako powie-
[dział!"

I zniknął, rzekłszy te słowa,
Zwiastun radosnej nowiny.
Mrok gdzieś w czeluściach się
[chowa,
a dzienna światłość różowa
idzie na góry, doliny...

A Marja w miejscu przystanie
i z ust jej słowa wybiegą:
„O wierzę w Twe zmartwychwsta-
[nie!
Wszak Ty wskrzesiłeś, o Panie,
Łazarza — brata mojego!"...

NA ZMARTWYCHWSTANIE PAŃSKIE

Badacz przyrody, zapuszczając się w głębie ziemi, natrafia wszędzie na ślady olbrzymiej katastrofy, która odmieniła ongiś oblicze ziemi i spowodowała jej dzisiejszy kształt. Podobnie i historyk, docierając do głębi dziejów świata i człowieka, odkrywa w nich wielce charakterystyczny, potężny moment, któremu świat i ludzkość zawdzięcza stan dzisiejszy. A tem wielkiem, epokowym momentem, względnie zjawiskiem, wobec którego żaden uczony nie może przejść do porządku dziennego — jest Jezus Chrystus i założone przez Niego chrześcijaństwo.

Nauka Jezusa Chrystusa stwierdzoną została Jego cudami, a dzieła Chrystusowe potwierdzają, usprawiedliwiają i symbolizują Jego mowę. „Il faut juger de la doctrine par les miracles, il faut juger des miracles par la doctrine" — powiedział słusznie Paskal, a analogję tę z głęboką racją stosował Bossuet do Pisma św. i Kościoła. Przeczenie cudów Chrystusa prowadzi do zaprzeczenia Jego słów, gdyż cuda nie są więcej cudowne, niźli słowa. Wśród cudów zaś Chrystusowych na pierwszym planie ukazuje się cud Zmartwychwstania Pańskiego jako najgodniejszy epilog boskiej działalności Chrystusa i Jego ustąpienia z pośród żyjących. Na tym cudzie buduje apostoł wiarę tak, że z zaprzeczeniem Zmartwychwtania upada wprost całe chrześcijaństwo, na nim zaś jako fundamencie opiera się gmach wiary i ostateczny argument boskości Chrystusa.

Stąd też złość i niewiara ludzka, począwszy od Celsusa a skończywszy na Renanie, Szenklu i Straussie, starała się za wszelką cenę obalić wiarygodność Zmartwychwstania Pańskiego. Stawiano najrozmaitsze hipotezy: letargu, wizji, oszukaństwa i t. d., a przeoczono fakt, że wiara apostołów, wiara świata całego w Zmartwychwstanie Pańskie, jeśli Chrystus prawdziwie i rzeczywiście nie zmartwychwstał, byłaby jeszcze większym cudem niźli samo Zmartwychwstanie. Myśl tę, którą Tomasz z Akwinu wypowiedział w formie filozoficznego dociekania, ubrał w prześliczną szatę poezji w śpiewak „Boskiej Komedji" w swych pieśniach o Raju. Stoimy tedy przed alternatywą: albo przyjęcia prawdziwości cudu, który nietylko harmonizuje z życiem i dziejami Chrystusa, ale i najlepiej tłumaczy historyczne zjawiska, albo wikłania się w sprzecznościach, fantastycznych hipotezach bez najmniejszej nadziei rozwiązania tak epokowego problemu.

Nietylko dla nas katolików, ale i dla wszystkich nieuprzedzonych ludzi, choćby z wrogiego nam obozu, nie ulega najmniejszej wątpliwości opowiadanie Ewangelji; jak ongiś cudem tym krzepili się Apostołowie i uczniowie Pańscy, tak dziś na Jego rzeczywistości opiera się wiara miljonów, gotowych na męczeństwo i śmierć w obronie boskiej nauki i boskiego posłannictwa Chrystusa.

Ostatnie dzieje prześladowań Kościoła stwierdzają wymownie tę dziwną moc i siłę wyznawców Chrystusowych, której źródłem może być jedynie boska moc, bo Jej tylko energja nie wyczerpuje się ani w kolei wieków, ani w miljonach ludzi.

Widmo prześladowań i walki zbliża się i ku nam; nie wolno zasłaniać oczu na rzeczywistość i karmić się illuzjami, opartemi na „tradycyjnie" katolickiej Polsce, czy oportunizmie państwowym. Może jeszcze nie zupełnie jawnie i z właściwym sobie tupetem, natomiast cichaczem, chytrze, podstępnie rozpoczyna się ruch, mający na celu podkopanie autorytetu Kościoła i władzy, jako preludjum do zburzenia i zniszczenia wiary. Narazie nie organizujemy się do walki, bo sporadyczne wystąpienia wrogów Kościoła zdają nam się być tylko odosobnionemi faktami, ale synteza tych wystąpień każe już wyczuwać system, program, a wiadomo, że radykalizm nie ustępuje z połowy drogi, zwłaszcza gdy przeciw sobie ma tylko bierność albo nieznaczny odruch nieskonsolidowanych jednostek. Należy nam tedy koniecznie wyjść ze stanu bierności, nazwać zło po imieniu i solidarnie stanąć do walki z bezbożnym prądem, który łatwiej jest zgnieść w zarodku, niż zwalczyć, gdy się rozwinie. Ciągła deklamacja na temat „Polonia semper fidelis", pocieszanie się zewnętrznemi, formalnemi objawami liczenia się z Kościołem, czy tolerowania go niechaj nie przysłania nam wzroku na stan faktyczny, który się wyraża stanowczo w ujemnym bilansie.

Im świętsze i drogocenniejsze ideały, tem większej wymagają czujności i pieczy; a stać na straży tych ideałów, nie znaczy bronić ich wtedy, kiedy niecna ręka siekierę przykłada do korzeni, ale odpychać wszelkie zakusy, torujące drogę do ich utraty.

W obliczu pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego, triumfalnego „Alleluja", Chrystusa i Kościoła, pełni nadziei i sił w zwycięstwo sprawy Chrystusowej, my, katolicy, gotowi na święty bój, musimy otwarcie wobec wrogów Chrystusa i Kościoła stwierdzić, że narzuconej nam walki, bez względu na to, od kogoby pochodziło wyzwanie, nie ulękniemy się, a za prawdziwością słów naszych i przysięg niezłomnych, przemawiać będą dwudziestowiekowe dzieje Kościoła i te najkrwawsze ich karty, kiedy w krwi i męczeństwie wiernych odradzał się Kościół, a prześladowcy na gruzach zgliszczów i ruin, złamani w beznadziejnej rozpaczy, wołać musieli: Galilaee vicisti. Można kapłanów i biskupów wtrącać do więzień, można kuć ustawy, godzące w ustrój i prawa Kościoła, ale idei i dzieła Chrystusowego nikt nie pokona, a Gloria poranku Wielkanocnego, będzie tem piękniejsza, im więcej krwawiły rany Wielkiego Tygodnia.

Polska katolicka w olbrzymiej swej większości, taką żyje wiarą, a z tej wiary, jeśli trzeba będzie, wykrzesze czyn, dając świadectwo Chrystusowi, niemniej potężnie, jak dają je dziś wyznawcy-męczennicy Meksyku, Bolszewji, w Niemczech i Hiszpanji.

Chrystus w triumfie Zmartwychwstania, największego cudu, świadczącego o Jego boskiem pochodzeniu, Zwycięzca śmierci, — oto źródło, z którego płynie nadzieja miljonów, którzy weń wierzyli, wierzą i wierzyć będą, jak długo istnienia świata; hasłem walczącego katolicyzmu te proste a tak pełne treści słowa: Surrexit Christus spes mea. (Zmartwychwstał Chrystus moja nadzieja).

K. KIERNOWSKI

RODZINA I SZKOŁA

Głośne jest dziś hasło współpracy domu i szkoły. Widzimy też na terenach wielu szkół szczere dążenie i rodziców i nauczycieli, a zwłaszcza kierownictwa szkoły do współpracy. A jednak w dziedzinie tej naogół nie jest tak dobrze jak się publicznie tą rzecz przedstawia. Ktokolwiek z rodziców zetknie się z praktyką „współpracy", odrazu spostrzeże, że coś w niej niedomaga, że nie jest tak, jak się mówi, jak się robi na pokaz. Spostrzeże prędko, że harmonja pomiędzy rodzicami a szkołą jest oparta na wartości osobistej ludzi współpracujących, a nie na założeniach ideologicznych.

Dzieje się tak dlatego, że w głębi duszy każdego z wychowawców nurtuje pragnienie „prymatu" w wychowaniu. Trzeba bowiem pamiętać, że programy dla szkół naszych wysuwają jako podstawową zasadę, że zadaniem szkoły jest przedewszystkiem wychowanie, a potem dopiero nauczanie.

Można nie zastanawiać się w tej chwili nad słusznością tak ujętej zasady, nie można wszakże zaprzeczyć, że szkoła poza nauką ma również zadania wychowawcze. Stawiając jednak te zadania na pierwszym planie suggeruje się niejako konieczność istnienia programu, obejmującego całokształt wychowania dziecka, program, który szkoła może urzeczywistniać wbrew rodzicom. Stąd ten cichy, zewnętrznie ukrywany antagonizm pomiędzy nauczycielstwem a świadomymi swych obowiązków rodzicami.

Nie wiele jest szkół, ale są takie gdzie rodzice zbierają się parę razy do roku razem z nauczycielstwem celem wspólnego omówienia zagadnień wychowawczych (nie wywiadówka, która bywa u nas najczęściej). Zdarzyła się jednak i taka szkoła, gdzie jeden z ojców, zaproszony do stałego udziału w Radzie Pedagogicznej, gdy przyszedł raz na posiedzenie Rady, znalazł jej członków zwołanych już na wcześniejszą godzinę, a więc bez niego, a dla omówienia właśnie spraw wychowawczych!

Nie ulega wątpliwości, że, poświęcając się karjerze pedagogicznej, nauczyciel przygotowuje się do tego, zdobywa duży zasób wiedzy teoretycznej, która mu pozwala nieraz łatwiej orjentować się w zagadnieniach wychowawczych. Tego przygotowania najczęściej rodzice nie mają. Wiemy jednak, jak się często teorje w zakresie wychowania zmieniają i wiemy też jak mało jest wśród nauczycieli wychowawców już nie z powołania, ale chociażby zdolnych.

Rodzice rzadko mają teoretyczne przygotowanie, ale są wychowawcami naturalnymi, są tymi „pierwszymi wychowawcami", jak mówi w swej encyklice Ojciec św.

Słusznie zupełnie powiedział ktoś, omawiając zagadnienie współpracy domu i szkoły, że siebie, człowieka, który już doprowadził dzieci do szkoły wyższej, uważa za bardziej kompetentnego wychowawcę niż stawiającego pierwsze kroki na polu wychowawstwa teoretycznie może nawet bardzo wykształconego młodego absolwenta uniwersytetu.

Na tym antagonizmie w zakresie prawa do wychowywania, w ocenie przygotowania do zadań wychowawczych nie może jednak ucierpieć samowychowanie. Niezaprzeczenie rodzice, zwłaszcza w dzisiejszych nienormalnych dla rodzinnego życia czasach, nie są w stanie podołać sami swym zadaniom wychowawczym. Muszą szukać pomocy w szkole, w nauczycielu. Tembardziej, że jak wszelkie środowisko ludzkie jest bezwiednym czynnikiem wychowawczym, tak też i szkoła będzie miała zawsze wpływ wychowawczy, chociażbyśmy formalnie zupełnie nawet wykreślili wychowanie z jej programu.

Dlatego trzeba zapomnieć o ambicjach „zawodowych" — rodziców i nauczycieli — i znaleźć drogi takiego porozumienia, które pozwoliłyby, nie roniąc nic ze swego dorobku wychowaczego, urzeczywistnić naprawdę, — nietylko dla oka ludzkiego współpracę w dziele wychowania współpracy rodziny i szkoły.





EL. ORZESZKOWA

O ZŁYCH HUMORACH

Artykuł znakomitej pisarski, Elizy Orzeszkowej — otrzymaliśmy od naszej współpracowniczki, p. L. Kotarbińskiej, która z koleżeńską gotowością ofiarowała nam tę drogą ze swych zbiorów pamiątkę.

Oczywiście wierzyć cncemy, że skreślone piórem Orzeszkowej „Złe humory" już dziś wśród kobiet — nie istnieją. Że dzisiejsza kobieta oświecona, zawodowem wykształceniem wyposażona, pracująca i rozumiejąca wielkie znaczenie i ważność atmosfery domu rodzinnego, w którym urabiają się charaktery nowych pokoleń, a wzajemne stosunki małżeństkie muszą się opierać na poważniejszych przesłankach aniżeli kaprys chwilowy — taka kobieta na złe humory czasu nie traci już dzisiaj. Ale dajemy ten, nigdzie niedrukowany artykuł jako obraz jednej z cech minionych chwil, które jednak istnieć musiały i często zatruwać domową atmosferę, skoro o tem pisała tak wielka znawczyni dusz ludzkich i bystra obserwatorka jaką była Eliza Orzeszkowa.

Redakcja.

Droga i dobra moja!

Dziwne czasem bywają na świecie zdarzenia. W tej właśnie chwili, gdy mię wezwałaś, abym o czemkolwiek tyczącem się domu i domowego życia, dla Ciebie napisała, myśl mą zajmował pewien fenomen psychofizjologiczny, który za drobiazg uchodzi, a drobiazgiem nie jest wcale, lecz owszem, znakomicie przyczynia się do zepsucia, zatrucia, rozgoryczenia, skwaszenia życia ludzkiego wogóle, a domowego w szczególności. Fenomenem tym są dość pospolite u kobiet naszych, t. zw. złe humory.

Gatunek ten, że tak powiem, kolor i ton złego humoru, zależy od temperamentu posiadaczki, od ilości żółci, którą zaprawiony jest jej organizm, od większej lub mniejszej śmiałości w objawianiu się, większej lub mniejszej przemyślności w sposobach kłucia ludzi w oczy i w serca.

Jedna ze szczęśliwych (i uszczęśliwiających!) posiadaczek fenomenu, w chwili jego przystępu, słowem bujnem i głosem ostrym wszystko na kuli ziemskiej istniejące sądzi, karci, gani, miażdży, gruchoce, potępia; inna zcicha i od niechcenia sypie z ust gradzik krótkich szpileczek, w postaci t. zw. docinków; inna jeszcze przyobleka się w pozory znękanej, acz cierpliwej ofiary wszystkiego co ją otacza, a inna staje się grobem, w którym pogrzebowy smutek niezgłębiony i nieuleczalny, jeżeli z konieczności wydaje z siebie głos, to jakby z pod ziemi wychodzący, tak posępny, głuchy, martwy, beznadziejny.

Powiedzieć można, że złe humory dzielą się na cztery działy główne, któremi są: głośny i wszechświat ogarniający gniew, cicha, lecz w szpilki obfitująca uszczypliwość, grobowa ponurość i łagodna, lecz wszelkie pociechy tego świata ze wstrętem odtrącająca melancholja. Są jeszcze i poddziały, lecz krótko mówić mając, to tylko powiem, że wszystkie działy i poddziały, z osobna czy razem wzięte, są puszką pandory, z której na życie domowe wysypują się: mróz, słota, wojna i inne różnorakie klęski.

Na życie domowe, bo towarzyskie mniej od tej puszki cierpi, jakkolwiek cierpi także. Ale tam gwar, rozmaitość, zabawa, mniejsze czy większe święta życia. Łatwiej coś znieść, łatwiej czegoś nie dostrzec, łatwiej z czegoś niedbale sobie zażartować.

Ale w domu i w dzień powszedni...

Cisza, praca, w szarem powietrzu rozpylone troski, może obawy i smutki. Na szczęście, są w dniu momenty, gdy praca ustaje, ciszę napełniają rozmowy przyjacielskie, poufne, niekiedy wesołe, w szarą powszedniość wsącza się złoty miód rodzinnych uczuć, zwierzeń i pocieszeń...

Otóż, wyobraź sobie, droga moja, jeden z momentów takich.

Połowa pracowitego dnia, stół obiadowy. Z trochą wyczerpania w mózgach, z trochą czarnych pyłków na sercach, z trochą bólu w nerwach czy muskułach, kółko domowe zgromadza się dokoła obiadowego stołu. Tu będzie odpoczynek, gawędka swobodna i serdeczna. Tu wszyscy wszystko jedni drugim opowiedzą i pocieszą, jedni od drugich pomocy i rady zażądają, jeżeli będzie z czego zaśmiać się, razem się zaśmieją, jeżeli na coś poskarżyć się, poskarżą, jeżeli co komu przebaczyć, przebaczą. Wszak w jednych ścianach żyjąc, sprzymierzeńcami są w tej walce, współpracownikami w tym trudzie, współtowarzyszami w tej uczcie nieosobliwej, którym na imię — życie.

Cóż jednak, skoro jedna z osób, kółko domowe składających, dziś o tem wszystkiem wiedzieć ani słyszeć nie chce. Ona dziś nikogo wogóle widzieć i niczego wcale słuchać nie chce. Usiadła do stołu z pochwyconą kędyś naprędce książką w ręku i w przerwach pomiędzy jedzeniem, a nawet w czasie jedzenia, z czołem zmarszczonem i surowemi usty zatapia w niej wzrok i uwagę. Niby nic; jednak wszyscy rzucają ku niej spojrzenia niespokojne. Co się stało? Wczoraj, dziś nawet jeszcze, była mówną, miłą, troskliwą, serdeczną. Czy co zaszło? Obraza? Strata? Choroba? Zmartwienie? Daremnie pytać: nie odpowie. Ale otóż odpowiada: cóżby stać się, co zajśćby mogło? Nic wcale. Czuje się jak zawsze. Spodziewa się, że nic przykrego nikomu nie uczyniła, ani rzekła. I rzeczywiście nic się nie stało, nic nie zaszło, nic nie uczyniła, ani rzekła. Tylko w głosie rozdrażnienie dźwięczy, w oczach migocą złe iskierki. Tylko, jest w złym humorze i dlatego ma taki pozór, jakby nagle i niespodziewanie, w ostatniej godzinie upłynionej, znienawidziła otaczających, głęboko nimi i wszystkiem co ich otacza wzgardziła, a rozkochała się w książce, którą jak puklerzem zasłania się przed ich widokiem i przed ich rozmową.

Niby nic, a na obecnych, jakby wiatr z pod chmury powiał. Oto szmatek błękitu, który ukazał się wśród dnia szarego, chmura powlekła. Ona przejdzie, prędzej czy później przejdzie, zniknie; wiedzą o tem wszyscy. Ale tymczasem, dokoła stołu rodzinnego usta milkną, czoła posępnieją. Niepodobna przecież opowiadać swobodnie, śmiać się czy żalić, nadewszystko czegoś żądać, o coś prosić, wobec tej chmury. Zimno. Temperatura spada, spada coraz niżej, już jest na zerze. Mróz. Opuszczając stół rodzinny, niektórzy czują, że są trochę nieszczęśliwsi niż byli przedtem, niektórzy, że więcej zmęczeni, — niektórzy, — że gorsi.

To tylko jeden kolos złego humoru. Są inne i różne następstwa sprowadzają.

Czasem zamiast mrozu czyni się w domu słota; pająki snują pomiędzy ścianami włókna samotnych milczeń, a z sufitów pada, pada, drobny, szary, kwaśny kapuśniaczek, Nuda. Wśród pajęczyn zaś i kapuśniaczku, przed oczyma ludzi samotnie po kątach domu rozrzuconych, przesuwa się postać, nie tak jak tamta rozgniewana i nienawidząca, ani jak inne bywają, szczypiąca, kłująca, gryząca, lecz przeciwnie, o! przeciwnie! łagodna, cicha, pokorna i tylko ostrożnie, bezbrzeżnie, ogromnie, nieuleczalnie — nieszczęśliwa. Ta nie dlatego milczy, aby kogokolwiek nienawidziła, ale dlatego, że wszystko na świecie, więc i mówienie, na nic się nie

zdało i że na wszystko, więc i na mówiene, sił jej już niestaje. Jest to również przyczyną, że dziś nie uczesała włosów, które na ramiona i czoło gałązkami brzozy płaczącej opadają i nie zapięła porządnie sukni, której brzeg wlecze się zanią bardzo krzywo i trochę za długo. Spełnia wszystkie czynności, które do niej należą, ale ostatkiem sił i z cichą jakąś, lecz niezgłębioną żałością, od której co moment usta drżą i wilgotnieją oczy. Melancholja upersynifikowana, dusza, która z cierpliwością anielską znosi na ziemi męki czyścowe. Także chmura, lecz nie jak tamta, piorunami nabrzmiała, tylko nalana śmiertelną nudą.

Cóż się stało? Wczoraj jeszcze była z losu swego dość, albo i bardzo zadowoloną, krzątała się po domu żywo, śmiała się z czegoś wesoło, grała domowym na fortepianie ślicznie. Cóż się stało? Co nowego zaszło? Ależ nic wcale. Jest w złym humorze. Oto wszystko. Niby nic, jednak wiele: nuda w domu i kwas w codziennym chlebie domowników.

Kędy zaś panują mróz, słota, kwas, nuda, tam i o wojnę ławo. Nie trzeba rzeczy nadzwyczajnie ważnych, aby ludzi przeciw ludziom uzbroić i bywa często, że gradzik przywarek i nieprzyjemnostek sprowadza pomiędzy ludźmi strzelaninę gęstszą, niżby to mógł uczynić wulkaniczny wybuch występku albo nieszczęścia.

Są ludzie, w których złe humory osoby bliskiej wzniecają gniew, zniecierpliwienia, rozmaite wogóle popędy wojenne; lecz, zdarzają się i tacy, którzy wprost ze strachu przed wrażeniami przykremi, z chęci oszczędzenia ich sobie, wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami starają się powstawaniu ich zapobiegać. Więc dla zapobieżenia dogadzają, pochlebiają rozmijają się z różnemi, wewnętrznemi i zewnętrznemi prawdami, liżą łapki, przybierają postawy służących piesków, słowem, z góry na wszystkich punktach kapitulują. Na wszystkich, bo i na tych także, kędy znajduje się szczerość, godność osobista i zdrowie pomiędzy ludzkimi stosunkami. I nie wiem już co gorsze: wojna czy taka zawstydzająca i dusze ludzkie zmniejszająca kapitulacja. Co pewna, to że jedna, zarówno jak druga, z najlepszemi celami domowego i rodzinnego życia, nic wspólnego nie mają.

Złe humory, na pozór tylko rzeczą drobną będąc, stwierdzają znany akcyomat o skutkach ważnych, sprowadzanych przez przyczyny z pozoru nieważne.



Pierwsza pieśń

Czem jest zjawisko to? Z czego składa się? Zkąd powstaje?

Osoby ulegające mu bardzo pospolicie mięszają pojęcie jego z pojęciem smutku. „Wolnoż każdemu bywać niekiedy smutnym!" — powiadają.

Niech mię Bóg broni, abym smutkowi ludzkiemu bluźniła ,abym go na ławie oskarżonych przed sądem świata umieszczała!

Smutek, to wielki pan ziemskiego świata i wszyscyśmy jego poddani; smutek, to w cyborjum duszy ludzkiej krwawe misterjum męczeństwa i niekiedy odkupienia. I wiem, że według natur różnych, smutek objawia się różnie; bywa pod powierzchnią pogodną cieniem zaledwie dostrzegalnym i niewątpliwie na zewnątrz wybuchającą burzą, bywa jeziorem stale dno serca pokrywającem i zdrojem niespodziewanie wytryskującym z niegdyś przez życie złożonych w sercu pokładów cierpienia.

Lecz zły humor smutkiem nie jest. To aljaż, do którego i on także w pewnych postaciach swych wchodzić może, ale który posiada składniki inne, a pomiędzy niemi najniezbędniej — złość.

W złych humorach, pod taką lub inną postacią, objawiając się, tkwi zawsze głośna — albo głucha, jawna, lub woalami żałości czy melancholji osłonięta — złość. Rozjątrzenie to jest przeciw wszystkim i wszystkiemu, krytyka to jest wszystkiego i wszystkich, rozpatrywanie się to jest samolubne w raneczkach własnych i pragnienie zadawania ich w odwet innym, nie sztyletem ani obuchem wprawdzie, lecz szpilkami i żądłami rozmaitego metalu i kalibru.

Powstaje to niewiedzieć skąd i przemija tak samo, bez przyczynienia się jakichkolwiek okoliczności zewnętrznych i nowopowstałych. Nie tak bywa ze smutkiem, który nie zawsze z jakiej skały wytryska i trwa choćby echowo wtedy jeszcze, gdy pęd czasu skałę z powierzchni ziemi zmiecie.

Nazwałam zjawisko to psycho-fizjologicznem; bodaj że trzebaby je odwrotnie fizjo-psychologicznem nazywać, bo sprowadzają je, zdaniem mojem, daleko więcej rozstroje organów ciała, aniżeli westchnienia i zgrzyty po komnatach duszy chodzące. Bliższe przyjrzenie się zjawisku, nie pamiętam już gdzie i kiedy, nasunęło mi pod pióro aforyzm: „Mało jest ludzi, którzy umieją swój charakter uwolnić spod panowania swojego żołądka". I teraz aforyzm ten powtarzam, z głębokiem o je-

go prawdziwości przekonaniem. — To rzecz zadziwiająca, jak ten wczorajszy anioł, przerobił się dziś na szatana! Co mu się stało? — E! nic ważnego! Niedomaga nieco na żołądek; albo: zdenerwowała go noc niedobrze przespana.

Nie widziałaśże, droga, metamorfoz takich, sprawianych przez bóstwa wcale do Owidjuszowych niepodobne? I powiedz, czy niemam słuszności utrzymując, że złe humory, to nadewszystko choroba fizyczna i, lachons le mit — moralne kalectwo.

Ale nie taka choroba i nie takie kalectwo, nad któremi, jak naprzykład nad suchotami, rakiem, albo garbem i jedną nogą krótszą, drugą dłuższą, człowiek nie mógłby władzy objąć i powściągnąć je lub z siebie zrzucić.

Czyliż nie jest rzeczą upokarzającą, zawstydzającą, nawet niemoralną, nawet nieestetyczną, aby od kilku kropel żółci więcej niż trzeba, od powolniejszego nieco niż trzeba ruchu jelit, od nieco większej lub mniejszej prężliwości jakiegoś nerwu, zależała nasza dobroć i dostojność ludzka, aby, co więcej, zależały od nich pogody czy burze naszych domów, aby, conajwięcej, zależały od nich spokój czy udręczenie otaczających nas serc?

Jaki człowiek, taka choroba. Przy jednostajnej sumie cierpienia są choroby krzykliwe, płaczliwe, zjadliwe, chcące w odwet za to co boli gryźć, dręczyć, ból zadawać; i są inne: spokojne, cierpliwe, łagodne, w bólu własnym pamiętające o bólu innych i złagodzić go usiłują choćby uśmiechem i wdzięcznem spojrzeniem. Zależy to od tego tła indywidualnego, na którem rozwija się choroba.

Złe humory mogą pozbywać się wielu swych ostrych kantów, albo i znikać zupełnie, jeżeli powstawać będą na tle dobrze wykształonych charakterów.

Dobrze wykształconym charakterem nazywam ten, w którym do potęgi dominującej podniesionemi zostały: dobroć i wola.

Dobroć, która odczuwa każdą ranę powstałą na sersu innem, i dla złagodzenia jej bólu, o swojej ranie zapomnieć gotowa, a już jak ognia i moru lęka się własnoręcznego zadawania ran.

Wola, która daje człowiekowi moc panowania nad objawami swoich uczuć, nad poruszeniami swojej duszy, swoich ust i swojej twarzy.

Dobroć jest pobudką dla woli, wola siłą dla dobroci. W królestwie ducha ludzkiego, dobroć jest prawodawczą, a wola wykonawczą władzą. Jeżeli istnieją i są dobrze, mocno ustanowione, mogą, w pewnej ilości wypadków przynajmniej, a w tym najpewniej, hamować bunty, w królestwie ciała powstające.

Wiele uczynić tu może wychowanie, gdy wszczepia przyzwyczajenie do uprzejmego obejścia się z otaczającymi, wiele pojęcie, zbyt mało dotąd uwzględniane, że nietylko prawa nasze przez innych, lecz i innych przez nas szanowanemi być powinny, najwięcej jednak, najwięcej, dobroć, nie pozwalająca, aby ktokolwiek na spokoju i pogodzie życia cierpiał przez to i dlatego tylko, żeśmy dziś lewą nogą z posłania powstali.

Panować nad duszą swoją, nad mową swoją, nad dźwiękiem głosu, nad sposobem, w który się układają rysy naszej twarzy, panować nad niemi nie przez obłudę, ale przez dobroć i uczciwe uznanie praw, które otaczający nas do naszego serca i do naszej uprzejmości posiadają, jedyna rada lekarska przeciw złym humorom, które występkiem nie są, ale są przywarą szkodliwą i dokuczliwą wielce, a czepiającą się często charakterów, pełnych skądinąd zalet najpiękniejszych. Aż żal bierze niekiedy patrząc na tę skazę przeciągniętą po pięknej całości, nadwerężając harmonję pięknych skądinąd rysów oraganizacyj kobiecych.

Czemu kobiecych tylko? Alboż mężczyźni nie miewają także złych humorów, nie noszą na sobie tej skazy, nie sprowadzają przez to na życie domowe mrozu, słoty, wojny, ciemności i różnych plag podobnych?

Ależ i owszem! Ajakże! naturalnie! Oj, oj, oj! Miewają, noszą, sprowadzają — i jak jeszcze! I na równi z kobietami, a może i więcej jeszcze od kobiet.

Ale do kobiety i dla kobiecego dziennika pisząc, specjalnie dziś tylko o kobietach piszę.

I mam to przekonanie, że gdy o poprawy jakiekolwiek idzie, każdy od siebie przedewszystkiem zaczynać je powinien.

I mam jeszcze tę ambicję, aby w dziedzinie popraw moralnych, kobiety z siebie przykład dobry dawały, przodem szły. Zbądźmy same przywary dokuczliwej i szkodliwej, a może dotychczasowi panowie świata zawstydzą się swojej na tym punkcie niższości i zdjąwszy z siebie przywarę swoją, nam ją u stóp w dowód szacunku złożą.

To rzekłszy, całuję Cię, droga moja, bardzo serdecznie i rychłe, nowe napisanie, o innym jakim drobiazgu — niedrobiazgu, obiecuję.

DO MASONÓW!

Idziemy drogą swoją
Nie chcemy obcych dróg,
Wam szatan jest ostoją.
A Panem naszym — Bóg!

Świętością nam jest wiara,
Symbolem Krzyż i miecz,
Od polskich uczuć — wara!
Od dzieci naszych — precz!

Nie wyrwie Polski z duszy
Nam mason, ani żyd,
Modlitwy nie zagłuszy
Szatańskich kielni zgrzyt. —

Nie złamią nas, nie nagną
Kahały czarnych lóż,
Nie damy wciągać w bagno
Ojczyzny wolnej już.

Choć dźwięczą dziś piekielnie,
Zadając prawdzie kłam,
W proch legną wasze kielnie
U Jasnogórskich bram. —

My na Kościoła straży
Staniemy wszyscy znów,
Jak ongiś, gdy husarzy,
Skrzydlatych wzlatał huf!

Pójdziemy zwartym frontem,
Wzniesiemy serca wzwyż
I błyśnie nad trójkątem
Chrystusa Króla krzyż!

Jan Marcińczyk.

ST. JÓZEF CZARNECKI

WARUNEK SZCZĘŚLIWEGO MAŁŻEŃSTWA

Czytelnicy spotkali się na łamach naszego pisma z pewną tezą, dotyczącą szczęśliwego pożycia małżeńskiego, stwierdzającą, że najlepszą podstawą doboru jest nietyle pociąg zmysłowy, ile wspólnota przekonań, a również i zainteresowań zawodowych.

Ta wspólnota daje możliwie najpewniejszą gwarancję harmonji i trwałości związku małżeńskiego. Nad tą kwestją warto się bliżej zastanowić.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wspólnota przekonań, upodobań i oparte na nich poczucie obowiązku większy może wywrzeć wpływ na podstawę wzajemną małżonków, od zapału miłości z pierwszego spojrzenia. Miłość ta bowiem dość szybko osiąga swą kulminację, ale też i szybko gaśnie. Jej właściwością jest przytem w pierwszej fazie zupełne zaślepienie, wytwarzające atmosferę niezdrowego uwielbienia, a w drugiej nadmienrny krytycyzm, dający w efekcie rozczarowanie.

Jest swego rodzaju pewnikiem, że doświadczenie jest wrogiem intensywności uczucia miłosnego. Moment niespodzianki, zaskoczenia, olśnienia, jakie daje pierwsze zetknięcie, wygasa w miarę ilości tych zbliżeń. A wynikające z tych zbliżeń głębsze rozpoznanie wzajemne partnerów kompromituje ich najczęściej, jako „ideał" serca!

W pierwszej fazie ludzkie wady są mało dostrzegalne, w drugiej przez przeczulone nerwy wyolbrzymiane.

Termin „ślepej miłości" oddaje tu bardzo dokładnie to zjawisko.

Gradacja objawów jest taka: zachwyt, nasycenie, pierwsze urazy, wreszcie odraza, zniechęcenie. Oczywiście proces ten do pewnego stopnia jest powtarzalny. Są momenty oparte o jakieś reminiscencje, wynikające czasem z likwidacji pewnych nieporozumień, że małżonkowie przebywają znów proces wzajemnego zainteresowania, lecz wygasa ono szybko, znacznie szybciej. Takie jest prawo reakcji.

Inaczej jest zupełnie w małżeństwie, gdzie momenty seksualne czy podziw urody nie grają głównej roli, gdzie fundamentem jest poczucie obowiązku, wynikające ze wspólnych przekonań, zainteresowań, prac.

Wyższość małżeństwa „z rozsądku" i „na rozsądku" opartego, jeśli chodzi o jego trwałość, zgodność jest niewątpliwa. Oczywiście niema w takiem małżeństwie jakichś niezwykłych sensacyj sercowych, niema frenezji i tragedji, wzlotów i rozczarowań. Jest zato zrównoważona atmosfera, oparta na tolerancji, na wyrozumieniu, na zrozumieniu zadań małżeńskich i rodzicielskich.

I atmosfera ta jest w gruncie rzeczy korzystniejsza z punktu widzenia celów związku małżeńskiego, od atmosfery „małżeństwa z miłości". Mniej wyładowuje się z niej burz. Więcej jest ciszy i płynącego stąd poczucia bezpieczeństwa, które dla wychowania młodych pokoleń mają zasadnicze znaczenie.

Dziecko jest zbyt delikatną istotą, by w chwili jej rozwoju, mogły nad jej głową błyskać pioruny małżeńskich zgrzytów.

Te wszystkie uwagi nasunęły mi się, gdym spojrzał na ilustrację paryskiego „Vu", przedstawiającą świeżo odznaczonych nagrodą Nobla p. Irenę Curie-Joliot i jej męża Piotra Joliot oraz dwie córeczki obojga „nobilantów".

Podpis gołsił: „La troisième génération du Prix — Nobel".

W tym krótkim podpisie jest „alchemiczna" formuła mego długiego wywodu o roli w podtrzymaniu atmosfery rodzinej wspólnych upodobań i nawet zainteresowań fachowych.

Oczywiście podpis pod fotografją optymistycznie nieco przewiduje, że trzecie pokolenie Skłodowskich-Curie-Joliotów pójdzie po tej samej linji prac i zainteresowań.

Ale przewidywania takie nie są tylko jakiemś pium desiderium. Mają one bardzo długie doświadczenie dziejowe. Czemże są po-

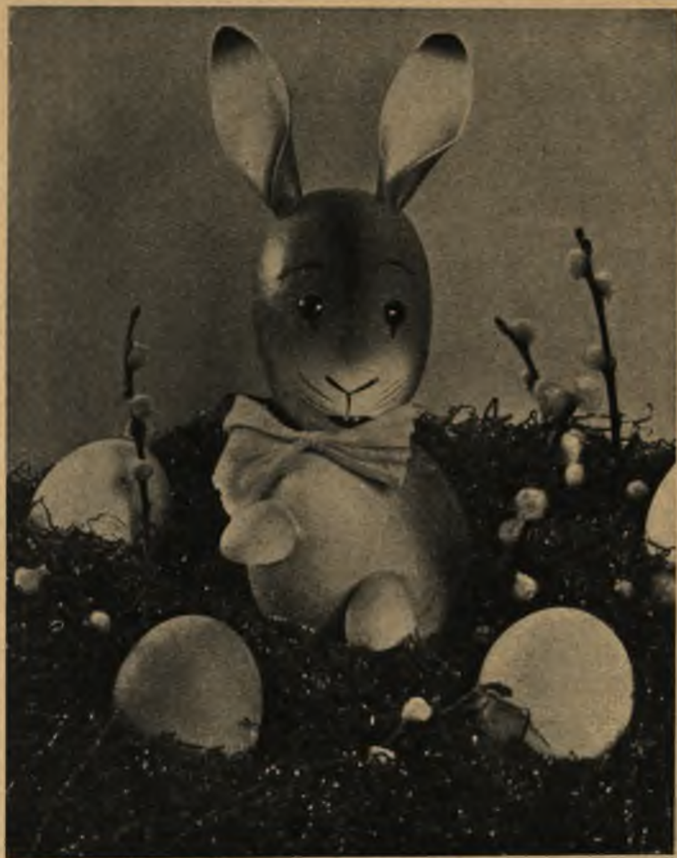
Dok. na str. 106.



Rodzina państwa Joliot.

Mała Joliot ogląda nagrody Nobla.





WIELKANOCNA PISANKA

Pisanki ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Warszawie, rysowane z oryginału przez autorkę, pochodzą z miejscowości: 1) Cieszyn (Śląsk), 2) Różanka (pow. Włodawa), 3) Popiołki (pow. Ostrołęka), 4) miejscowość nieznana, 5) Stanisławów (zbiory huculskie), 6) Jaremcze (zbiory huculskie).

Prawie równocześnie z wiosenną, rozkwieconą dekoracją miasta, z roześmianemi po rogach ulic pękami tulipanów, roztulonych nieśmiało fiołków i puszystych wierzbowych gałązek, pojawiają się w wystawach sklepów pierwsze wielkanocne drobiazgi. Cieszą oczy bronzowe, lśniące zajączki, jajka z czekolady, zabawne kurczątka i baranki, przewiązane wstążeczką. Wszystko słodkie, wszystko z cukru lub z czekolady.



1



2

Pisanki w mieście nie są znane. Jajka kurze zdobią okna sklepów kolonjalnych z napisami „gwarantowane" (chodzi o ich świeżość) i na tej użyteczności produktu kończy się ich rola. Zato w Muzeum Etnograficznem pisanki z rozmaitych okolic Polski, często prawdziwe okazy sztuki ludowej, znalazły uprzywilejowane i zasłużone miejsce. Zamknięte w ogromnych, oszklonych szafach, umieszczone każda w metalowej cieniutkiej obrączce, każda widoczna w swym stroju, przyciągają uwagę, zdumiewającą pomysłowością, starannością wykonania, mozaikową delikatnością rysunku.

— Tyle pisanek i niema dwóch takich samych — mówi z uznaniem siedmioletni chłopczyk, zwiedzający z mamusią muzeum.

Ani jednej takiej samej, choć wiele zbliżonych motywami.

Miło wyglądają pisanki śląskie. Motywy roślinne łączą się tu z motywami ze świata zwierzęcego, stylizowanemi miękko w linjach falistych i fantastycznemi. W jednym z wyższych rzędów zwracają uwagę zuchwałe czarno-białe pisanki o rysunku zdecydowanym, mocnym, z najczęstszym motywem koła o promieniach wachlarzowato rozpiętych.

Mniej pomysłowe, ale charakterystyczne dla okolicy Łowicza są jajka, zdobione nalepianemi wzorami z kolorowego papieru, szczególnie barwne w porównaniu z innemi.

Najbogatsze w pomysły i barwy pisanki znajdują się w sali zbiorów huculskich. Fantastyczne ornamenty, związane z kultem chrześcijańskim, zaczerpnięte ze świata zwierzęcego, roślinnego, z otoczenia, z ciał niebieskich, wypracowane prawie koronkowo, przypominają barwną mozaikę.



3

Wierzyć trudno, że wykonały je ręce, przywykłe do ciężkiej pracy. Że ze zwykłych kurzych jajek, mniej lub więcej „gwarantowanych" powstały te owalne, czarodziejskie kule.

Praca zdobienia pisanek, w technice prosta, wymaga jednak pewnego smaku i zmysłu dekoracyjnego.

W wielkim tygodniu zbierają się wiejskie dziewczęta, gdy robotę się trochę „odwali" (tę najgrubszą, najważniejszą). Zbierają się spracowane, lecz chętne, pełne pomysłów i zazdrosne o nie. Roztapiają wosk, wybierają jajka. Ich kształt, tak zwykle lekceważony, jest przedmiotem krótkiej bodaj uwagi.

Zaczynają woskiem kreślić na jajku magiczne linijki. Szpilką, jakąś rurką, blaszką od sznurowadła — jak której wygodnie. Potem te jajka pokreślone i zupełnie jeszcze brzydkie, wrzucają do garnka z przestudzonym barwikiem. Po wyjęciu jajko jest kolorowe, a na miejscu wosku (po oskrobaniu) pozostają białe desenie.

Dla otrzymania pisanek wielobarwnych, powtarzają całą tę czynność, pozostawiając od wosku wolne te miejsca, które mają być zabarwione. Zapewne łupiny cebuli dają czerwono-żółty kolor, liście krokusu — pomarańczowy. Liście maliny, strażniczki wiejskich ogródków, dostarczają pięknego fioletu.

Oprócz pisanek, rysowanych woskiem, rozpowszechnione jest zdobienie jajek sposobami prostszemi. Tak powstają jajka *„pstrzone"* — nakrapiane woskiem; *mozaiki* — okręcone suknem kolorowem, lub bibułką i w ten sposób gotowane. W Polsce środkowej i zachodniej dziewczęta zdobią jajka, nalepiając na nie gałganki, kolorowe papierki, „duszę" bzu, lub sitowia.

Bardzo ciekawe są pstrzone jajka przez położenie ich na mrowisku. W miejscu, gdzie mrówka przejdzie, jajko po ugotowaniu będzie miało ciemną kropkę lub kreskę.



5



4

Skrobanki, rysowanki, powstają przez skrobanie nożykiem deseni na jajku, jednostajnie pomalowanem. Wśród tego rodzaju jajek spotyka się prawdziwe okazy sztuki, zwłaszcza na Podgórzu.

* * *

Wśród wielu ludów, od najdawniejszych czasów, jajko było uważane jako utajone źródło sił twórczych i niszczycielskich, jako wyraz śmierci. Podług wierzeń ludowych jajko posiada moc uzdrawiającą i odwracającą zło. Dlatego po wsiach jajkiem toczą po ciele chorego, jajko wieszają w chacie, w sadzie, zakopują w polu.

Symbolika jajka według niektórych etnografów bierze początek w Indjach. Jako dowód przytaczają podanie sanskryckie o tem, że Brahma Prajapati przeleżał w jajku cały wiek ludzkości. Niektóre obyczaje, związane z jajkiem, można przypisać pochodzeniu z Rzymu lub z Grecji — co do innych trudno ustalić. To jest pewne, że praktyki i wierzenia związane z jajem, znane są prawie wszystkim ludom świata.

W Polsce jajko, jeszcze za pogaństwa, było symbolem odrodzenia się przyrody na wiosnę. Jak pisklę z jaja, tak powstaje piękna zielona ziemia z zimowego odpoczynku pod powłoką śniegu.

W przeciwstawieniu do dawnej w zabobonach roli jajka, jako siły odwracającej, jajko paschalne otrzymało nowe znaczenie. Zaczęto w niem widzieć symbol życia, odrodzenia, zmartwychwstania, wskazujący jednocześnie na wielki dogmat chrześcijański i na budzenie się natury.

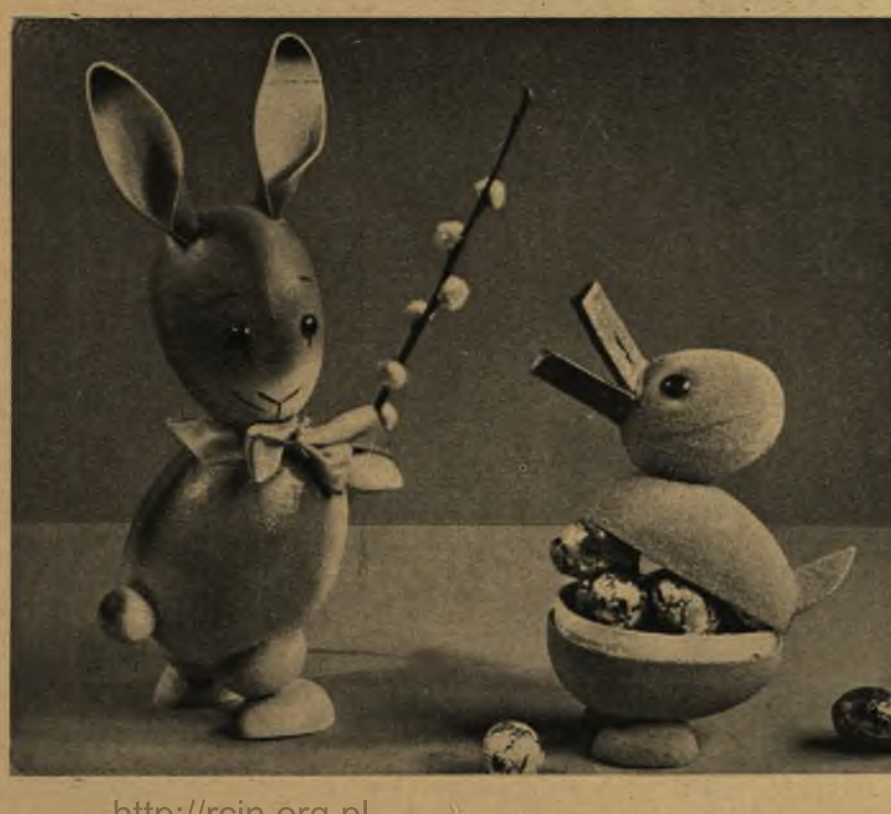


6

Jeśli chodzi o kraszenie jaj, o ich ozdabianie, nasze podania ludowe wiążą ten zwyczaj przeważnie z męką Chrystusową. Podanie sięgające czasów przedchrześcijańskich mówi, że jajko krasi się na Wielkanoc na pamiątkę jaskrawego blasku zachodzącego słońca.

Najbardziej poetyczne i może najpiękniejsze jest podanie ludowe, głoszące, że Marja Magdalena, płacząc przy pustym grobie Chrystusa, ujrzała anioła, który jej powiedział o Zmartwychwstaniu. Gdy wróciła rozradowana do domu, wszystkie jajka jakie miała przybrały czerwoną barwę. Mówiąc o Zmartwychwstaniu, rozdawała Marja Magdalena czerwone kraszanki. Te pierwsze kraszanki zamieniły się w ptaki w rękach uczniów Chrystusa.

Inne podanie mówi, że ubogi, niosąc kosz jaj, spotkał Chrystusa, idącego na Golgotę. Z litości pomógł Zbawicielowi dźwigać krzyż. W nagrodę zato, jaja w ko-





szyku zamieniły się w piękne pisanki i kraszanki.

Barw pisanek, szczególnie u nas rozpowszechnionych, nie można dokładnie ustalić. Kolor ich często zbliża się do barw i deseni, używanych ogólnie w zdobnictwie ludowem i ubiorach danej okolicy. Często jednak pisanka bywa ciemniejsza niż ubiór.

Na zachodzie barwy pisanek są ciemniejsze i jednostajniejsze, na wchodzie jaskrawsze. Kolor czerwony króluje, zwłaszcza w pisankach jednostajnych. Pojawia się w kombinacjach z barwami: żółtą, czarną i zieloną.

Dość rozpowszechniony jest kolor czarny, przypominający kończący się właśnie wielki post. Barwa ta łączy się czasem ze specjalną symboliką. W byłej Galicji np. barwa fioletowa lub niebieska oznacza żałobę wielkopostną. Umieszczone na jajku obok tych barw kolory żółte, czerwone, zielone oznaczają radość ze Zmartwychwstania.

Za typową w Polsce etnograficznej można uważać pisankę dwubarwną: biały deseń na tle czarnem, czerwonem lub żółtem. Pisanka o wielu barwach typowa jest na Rusi.

Klara Sołonowicz.

POCHWAŁA ŚMIECHU

Śmiać się — to nielada sztuka
Lecz uśmiechnąć się — to trudzi.
Kto podejmie, do kaduka
Sztuki tej wyuczyć ludzi?!
W dobie krachu kapitału
Niech w wartościach wzrosną cnoty
Z detefonem więc pomału
Stańmy wszyscy do roboty.
I zdobądźmy — tak niewiele
Radość życia i wesele. *M. A.*

DO P. T. CZYTELNIKÓW

Uprzejmie donosimy wszystkim Czytelnikom „Rodziny Polskiej" że spowodu wzrastającej ciągle liczby prenumeratorów, wszystkie numery naszego pisma ze stycznia i lutego b. r. są zupełnie wyczerpane.

REDAKCJA

Dokończenie art. Warunek szczęśliwego małżeństwa.

kolenia lewitów, jeśli chodzi o przykład nieomal klasyczny, czemże są przekazywane z ojca na syna tajemnice zurichskich zegarmistrzów, lub amsterdamskich szlifierzy klejnotów?

Do takich zjawisk musiała się przyczynić niewątpliwie atmosfera wzajemnego przyjaznego stosunku małżonków do siebie.

Gdyby w takich małżeństwach, jakich klasycznym przykładem jest małżeństwo Curie-Skłodowskiej, nie było tego wspólnego zainteresowania, gdyby ognisko domowe nie wchodziło tak głęboko w warsztat pracy i nawzajem, to czy można sobie wyobrazić, żeby Irena Curie stała się kontynuatorką prac swych rodziców. I ta kontynuacja niewątpliwie miała znaczenie dla jej zetknięcia się z p. Piotrem Joliot, chemikiem z powołania. A że z tego wynikły nietylko nowe odkrycia naukowe, uwieńczone laureatem Nobla, ale i małżeństwo, pobłogosławione dwojgiem przemiłych dzieciaków, à la bonheur.

Tak więc wypada stąd zrewidować nieco romantyczny stosunek do miłości i małżeństwa i wprowadzić korekturę, na podstawie doświadczenia małżeństw dwu pokoleń chemików, małżeństw — ogólnie mówiąc — opartych o wspólne zainteresowania i pracę.

PROF. WŁ. BURKATH

SIGRIDA UNDSET NA TLE SWOJEGO KRAJU

(Rozmowa z wielką pisarką Norwegji).



Kraj Edwarda Griega i Sigridy Undset, to jeden z najbardziej niedostępnych a zarazem najmniej znanych w Europie. Jedno z najpopularniejszych przysłów norweskich „ta de met rö”, czyli „dajcie nam święty spokój”, dosadnie charakteryzuje stosunek kraju fjordów do otoczenia. Zresztą nietylko w stosunku do zagranicy jest Norweg samowystarczalny, wyniosły i niedostępny, jak surowa, górska przyroda jego kraju. Cała powierzchnia Norwegji, nie wiele mniejsza od Polski, — to szczyty, osiągające do 3 tysięcy metrów wysokości, inne w nastroju, niż szwajcarskie, idealnie zespolone z wrzynającą się głęboko w ląd taflą wód. Niema tego ani w Szwajcarji, ani w Tyrolu — woda strumieni i wodospadów otacza skały ze wszech stron, ma ona nigdzie nie spotykaną barwę szmaragdu. Odwieczny ich szmer ożywia niemal muzycznie krajobraz, pokrytych śniegiem gletczerów.

A cóż mówić o fjordach, w których odbija się czerwone górskie słońce. Trzeba je zobaczyć, przepłynąć — najlepiej w samotnym kajaku...



Norwegja jest w tem szczęśliwem położeniu, że dzięki swemu położeniu jest zdala od rozgwaru polityki europejskiej. Żyje własnem, zamkniętem w ramach skał życiem, celem którego jest ujarzmienie surowej, ale jakże pięknej w swych kontrastach przyrody. Ta ciągła walka — od czasów antycznych Wikingów do chwili obecnej dała Norwegji nietylko szkołę charakterów, ale i poważne rezultaty przemysłowe: wykorzystanie siły wodnej, wielkie zakłady przetworów rybnych, co zatem idzie — samowystarczalność. Wobec powyższego, słusznem wydaje się cytowane przysłowie norweskie — odbicie tej samowystarczalności.

Oslo — dawna Chrystjanja, to jedna z najmniejszych stolic świata. Malowniczo rozłożone u stóp fiordu, odbija swoją ciszę od żywego tętna Sztokholmu i Kopenhagi. — Król — najpopularniejszy z obywateli kraju, odbywa codziennie swoje przechadzki po stolicy, przez nikogo nie zauważony, bez straży i adjutantów.

Oslo jest jedyną ze stolic, która nie posiada opery. Zato sporty, mające swoje siedlisko na Holmenkol-



I. Sigrida Undset.

II. Dom Sigridy Undset.

III. Salon w domu Sigridy Undset.

len, stanowią bodaj że jedyną namiętność Norwegów. Sport to emocja, zdolna do wyprowadzenia zrównoważonego obywatela kraju z jego niewzruszonego spokoju. Bo też sama struktura Norwegji, jej przyroda przedstawiają wymarzony teren dla turysty. Wewnątrz kraju snuje się naturalna linja wodna, zbliżona dosłynnego Göto, a dwa tysiące wysp broni go od zalewu morza.

Dalej nieco, zaczynając od Bergen — zaczynają się fjordy. Najbardziej z nich majestatyczny — Hardanger ze swoim niemal pionowym cokołem skalnym, na zboczach którego rozsiadły się lasy iglaste. Zato Sognefjord wydaje się w słońcu istną krainą z bajki. Brzeg jego postrzępiony jest w szczeliny wąskie i niedostępne. Ze szczytów równoległym strumieniem płyną wody kaskad, niemających sobie równych w dolinie Siedmiu Sióstr. Im dalej na północ, tembardziej ciemnieje koloryt. Na dalekim Nordfjordzie barwa lasów jest prawie czarna. Wreszcie znikają drzewa aż wreszcie na wyżynach Szpicbergu i Finse widzę dwa już tylko kolory — odwiecznych śniegów i szarych skał...







Oto jest w impresji turysty charakter przyrody norweskiej, wrażający się swoją surowością głęboko w psychikę mieszkańca kraju zórz polarnych i niedostępnych szczytów. Dodałbym jeszcze — kraju wymarzonej samotności.

Ściśle na połowie drogi między Oslo a Trondhjemmem leży w małej dolinie górskiej zaciszne Lillehammer. Nazwa osady nie stałaby się głośną i nie pociągałaby turystę, gdyby nie okoliczność, że mieszka tam oddawna najwybitniejsza pisarka Norwegji, Sigrida Undset. W poselstwie naszem w Oslo ostrzegano mnie, że Undset nie lubi wizyt prasowych, że mój projekt odwiedzenia jej niema szans powodzenia. Cytowano mi dla — zachęty — Knuta Hemsuna, którego słynne brytany — jak w bajce — strzegą wstępu do sanktuarjum wielkiego pisarza.

Rozmyślając o powyższem, wysiadałem na małym dworcu w Lillehammer, udając się na poszukiwanie siedziby autorki „Krystyny". Każdy przechodzeń wie, gdzie zamieszkuje honorowa obywatelka jego miasteczka. Dwa bliźniaczo podobne do siebie domki w chłopskim staronorweskim stylu — oto cel mojej wędrówki. Nie myślałem nawet, że obrońcą przed ewentualnym gniewem „samotnicy z Lillehammer" stanie się... radjo.

Kiedy zastukałem do okutych drzwi i wręczyłem swoją kartę wizytową, spotkało mnie wbrew przypuszczeniom przyjęcie szczere i gościnne.

„Przedewszystkiem słyszałam grę pana z Oslo przez głośnik, a powtóre, a raczej — przedewszystkiem — przybywa pan do mnie z wielkiej, katolickiej Polski"... — oto były pierwsze wyrazy, jakie wypowiedziała do mnie wielka pisarka.

Byłem szczęśliwy, że długa moja wędrówka do Lillehammer nie była nadaremną. Wyniosła, o mocno siwiejących już włosach, pani Undset, patrzyła na mnie swemi dużemi, nawpół zamyślonemi oczyma, w których zdawało mi się, że dostrzegam żywe światło wiary...





Trzeba bowiem wiedzieć, że wielka pisarka norweska od dwu lat jest konwertytką. Przyjęcie wiary katolickiej, połączone z niejedną ofiarą osobistą, otworzyło przed nią nowe cele, nową drogę twórczości. Za chwilę zasiedliśmy w zacisznej pracowni autorki, patrząc przez okno na pobliskie urwisko skalne.

Spodziewałem się, że usłyszę, jak zwykle szczegóły autobiograficzne. Z wielką skromnością odpowiedziała pani Undset na moje zapytania, uchylając jednak każde z nich, któreby dotyczyło bezpośrednio jej osoby. Powiedziała mi jedynie o swojem dzieciństwie, spędzonem wpośród pamiątek staronorweskich, na które patrząc, napisała później tu, w Lillehammer, jedną ze swych najbardziej znanych książek „Krystynę, córkę Lavrence'a". Wielkie, zamyślone jej oczy patrzyły w krajobraz górski i zdawały się być potwierdzeniem, że przyroda norweska znalazła w twórczości jej najmocniejsze odbicie. Mój wzrok natomiast błądził po rozrzuconych w gabinecie księgach i rękopisach, po szczegółach skromnego umeblowania, aż spoczął na czarnym, hebanowym krucyfiksie...



Z chwilą, kiedy przestałem pytać o sprawy literatury, gdy przyszliśmy na temat Akcji Katolickiej, Sigrida Undset ożywiła się. Wyczułem, że ten temat jest jej obecnie najbliższym. Zapytywała mnie o naszą literaturę religijną, o Jasną Górę, o nawybitniejszych działaczów katolickich. Powiedziała mi, że wielokrotnie w niedzielę słucha naszych nabożeństw, wczuwając się w nastrój, jaki my w dalekiej Polsce przeżywamy.

Za chwilę przeszliśmy do wielkiej sali, gdzie zauważyłem mały ołtarz. Tu co miesiąc, lub częściej odbywają się nabożeństwa katolickie, przybywa z Oslo lub Trondhjemmu misjonarz, odprawia Mszę św. i spowiada... Słucham z rozrzewnieniem, że jak ongiś, za czasów apostolskich, przybywają do Lillehammer łodziami, lub koleją nieliczni rybacy katolicy, zapełniając pono po brzegi prowizoryczną kaplicę pani Undset. W tej atmosferze rozmawialiśmy o sprawach katolickich w Norwegji. Imię wielkiej laureatki Nobla i jej popularność, a przedewszystkiem szczytna idea, promieniejąca z oczu jej, każą przypuszczać, że cel dalszej twórczości Undset — rekatolizacja swego kraju, musi być kiedyś osiągnęty. Każde słowo, dotyczące tej pracy, uderza mnie swoją wielką wiarą i bezpośredniością. Ta część mojego wywiadu dała mi postokroć więcej, niż poprzednia rozmowa o literaturze. Wielka prostota w stroju i sposobie bycia pisarki noszą charakter niemal zakonny...

FR. SCHNEIDER

ROLA CZYNNIKÓW EUGENICZNYCH W DOBORZE MAŁŻEŃSKIM

Rolę ważnego kryterjum w wyborze żony lub męża odgrywa cielesne i duchowe zdrowie przyszłych małżonków. Chorowici lub słabowici rodzice rzadko wydają na świat zdrowe potomstwo, o ile ich związek małżeński nie pozostaje wogóle bezdzietnym. Z drugiej zaś strony również niezdrowi rodzice mają często nienaturalnie wielką rodzinę, jak potwierdza to doświadczenie dnia powszedniego. Toteż już choćby ze względu na życie nienarodzonych powinno się wybierać tylko cieleśnie i duchowo zdrową osobę, z którą chce się zawrzeć małżeństwo. „Każdemu dziecku przysługuje prawo", — tak brzmi dyrektywa pewnego amerykańskiego miesięcznika, poświęconego sprawie kultury rodzinnej — „urodzić się zdrowem". Nasuwa się ponadto wielkie prawdopodobieństwo, że chorowici, słabi, niezdrowi ludzie również po zawarciu małżeństwa często lub wkońcu ciągle chorują, a przez to utrudniają, o ile nie uniemożliwiają spełnienia zadań małżeństwa, wywierają nieprzyjazny wpływ na całą jego duchową atmosferę i wystawiają na niebezpieczeństwo lub podkopują szczęście z małżeństwem związane. Jednakże doświadczenie poucza również o tem, że pomimo osobistego zdrowia małżonków nie zawsze jest zabezpieczone zdrowie potomstwa. I dzisiaj wie każdy wykształcony człowiek wskutek popularyzacji wyników badań nad dziedzicznością, jak to zjawisko należy wyjaśnić. Toteż nie wystarcza zupełnie poddać badaniu cielesne i duchowe zdrowie osoby, z jaką ktoś zamyśla połączyć się węzłem małżeńskim i, w razie stwierdzenia u niej ciężkiej choroby, porzucić zamiar zawarcia z nią małżeństwa z poczucia odpowiedzialności względem spodziewanego potomstwa, lecz u zdrowych kandydatów na małżonków trzeba ponadto stwierdzić, czy u ich przodków, przynajmniej u rodziców i dziadków nie ukazały się objawy chorób dziedzicznych; o ile bowiem one nie zjawiły się dotychczas również u kandydata czy kandydatki do małżeństwa, lub wogóle nie występują u nich zupełnie, to jednak zarodki tych chorób tkwią ukryte w swojej substancji i zajwić się mogą dopiero w następnem pokoleniu. Dotknięte zaś niemi osoby uczynią niezdolnemi do życia podług rodzaju i ciężkości choroby, do ich rodzin wprowadzą ciężkie cierpienia, rodziców zaś, którzy byli roznosicielami dziedzicznych chorób, przejmą żalem i pogrążą w głębokie konflikty z własnem sumieniem.

Tak tedy dokładne zbadanie cielesnego i duchowego zdrowia kandydatów na małżonków powinno być zatem samo przez się zrozumiałem. A jednak tak nie jest. Już Darwin skarżył się na to i w książce swej pod tytułem „Pochodzenie człowieka" zwracał uwagę na sprzeczność, polegającą na tem, że człowiek hodujący konie bada ze skrupulatną troskliwością charakter i rodowód konia, nie bierze jednak pod uwagę podobnych momentów przy wyborze męża względnie żony. Że ludzie aż po czasy współczesne poczuwali się wogóle do zbyt małej odpowiedzialności za rodzenie cieleśnie i duchowo zdrowego, wartościowego potomstwa, jest niezaprzeczalnym i na pierwszy rzut oka również zdumiewającym poniekąd faktem, zważywszy, iż od czasów starożytnych aż po czasy najnowsze wysuwano żądanie uwzględniania czynników eugenicznych przy wyborze żony lub męża. Symptomatycznem jest wszakże, iż żądanie to znajduje się po wielokroć w tak zwanych utopijnych teorjach o państwie, np. w powieści o państwie, napisanej przez humanistę i męża stanu, Tomasza Morusa, która wyszła w roku 1516, dalej w dziele Campanelli p. t. „Państwo słońca", opublikowanem w roku 1620, i wreszcie we francuskiej powieści o państwie p. t. „Rzeczpospolita filozofów", pochodzącej z roku 1768. W pismach tych właśnie wysuwano po wielekroć takie żądania, których uprawnienie odczuwano niejasno lub też uznawano wyraźnie, których natomiast ziszczenie okazywało się jednak utopją, gdyż ludzie albo do nich jeszcze nie dojrzali, albo nie mieli pod ręką gotowych środków i metod.

Wprawdzie poznano wówczas w ogólnych zarysach zależność zdrowia młodego pokolenia od stanu zdrowotnego rodziców i przodków, ale brak było jeszcze dokładnego wglądu w szczegóły. Ani nie zdawano sobie sprawy dokładnie, jakie choroby trzeba zaliczyć do chorób dziedzicznych, ani też według jakich praw odbywa się ich dziedziczenie, ani wreszcie w indwidualnych wypadkach nie można było obliczyć z pewną dokładnością prawdopodobnego stopnia ich dziedziczenia. Dzisiaj wszakże naskutek postępujących wciąż naprzód badań nad dziedzicznością, i w rezultacie osiągniętych przez nie ścisłych wyników, niepewność ta i niedokładność zmniejszyła się istotnie. Znamy wielką liczbę dziedziczalnych, cielesnych i duchowych chorób, jak pewne choroby psychiczne, epilepsję, dziedziczną głuchotę i ślepotę, choroby krwi jak np. hemofilję i t. d. Przegląd najważniejszych chorób dziedzicznych u ludzi podaje według Fetschera Theobald Fürst w piśmie swem „Vererkungsgesetze und ärztliche Eheberatung". (Otto Gmelin, München 1927, str. 40 do 41). Byłoby naturalnie rzeczą możliwą, w oparciu o oną książkę lub podobną literaturę, w tym artykule przeznaczonym dla rodziców i tych, którzy nimi chcą zostać, ułożyć pełną listę chorób dziedzicznych. Zaniechałem jednak tego umyślnie. Udzielanie bowiem zdrowotnych porad małżeńskich jest sprawą zawodowego lekarza, a nie należy do laika, nawet w stosunku do własnej, indywidualnej sytuacji. Zapewne, że nawet i niefachowiec mógłby kandydatowi do małżeństwa postawić odosobnioną diagnozę niektórych w swych symptomach szczególnie wyrazistych chorób dziedzicznych. Ale objawy innych chorób może jednak ustalić tylko lekarz zawodowy. Łączy się z tem i ta okoliczność, że trzeba brać w rachubę nietylko poszczególną, chorobliwą skłonność dziedziczną, lecz za każdym razem należy uwzględniać ogólne podłoże dziedziczności, co znów jest związane z posiadaniem ogólnej, praktycznej znajomości medycyny, którą mieć może jedynie lekarz zawodowy, wskutek czego on tylko jest zdolny zawyrokować o wyleczalności lub niewyleczalności danej choroby dziedzicznej. Nie wystarcza również samo ustalenie pewnej choroby dziedzicznej, ale trzeba także, ponieważ różny jest ciężar choroby dziedzicznej — porównaj np. skłonność do częstego kataru i podatność na gruźlicę, niewinne drgawki nerwowe i prawdziwą epilepsję — stwierdzić ponadto, czy dana choroba dziedziczna nie przyniesie życiu poważnego uszczerbku, tak, że zawarcie związku małżeńskiego

musi być odradzone. To również jest sprawą zawodowego lekarza.

Jeszcze ważniejszą rolę niżli postawienie diagnozy choroby dziedzicznej, odgrywa postawienie prognozy choroby dziedzicznej, ustalenie w jakich najprawdopodobniej rozmiarach wystąpi choroba dziedziczna u potomstwa, czego dokonać może nie każdy lekarz, ale tylko ten, który jest gruntownie wyspecjalizowany w dziedzinie chorób dziedzicznych. To postawienie prognozy dziedziczności z naukową, niezawodną pewnością było niemożliwe w dawnych wiekach przed odkryciem przez Mendla praw dziedziczności i zastosowania ich do rozmnażania się rodu ludzkiego. To również wyjaśnia, dlaczego starodawne żądanie uwzględniania eugenicznych czynników przy wyborze żony czy męża pozostało wogóle niespełnione aż do czasów współczesnych.

Ale teraz, kiedy, dzięki postępującemu wciąż naprzód doskonaleniu się badań nad dziedzicznością, zdobyto coraz więcej podstaw dla uwzględniania eugenicznych czynników przy wyborze żony czy męża, niema już wymówki, pod pozorem której możnaby nie brać w rachubę tych eugenicznych czynników przy wyborze żony lub męża. Owszem, żądanie uwzględnienia eugenicznych czynników podniesiono z wielką skwapliwością od czasów wojny światowej, a zwłaszcza od chwili wybuchu w Niemczech rewolucji narodowo-socjalistycznej.

Jak dawniej, odpowiednio do indywidualistycznego nastawienia zachodniego społeczeństwa, żądanie uwzględniania eugenicznych czynników przy wyborze żony lub męża motywowano skutkami grożącemi losom poszczególnnych jednostek, tak w narodowo-socjalistycznych Niemczech występują już na plan pierwszy następstwa zagrażające ogółowi narodu w razie nieuwzględniania eugenicznych czynników przy wyborze żony lub męża: złowróżbny przyrost w narodzie obywateli obciążonych chorobami fizycznemi lub psychicznemi, potęgująca się deprawacja organów rozrodczych, oraz zanikająca z jednej strony coraz bardziej liczba zdrowych pod względem duchowym i cielesnym, z drugiej zaś strony rosnąca coraz bardziej wskutek chorób dziedzicznych liczba obywateli niezdolnych brać udział w życiu publicznem. Równieżkatolicy są obowiązani w sumieniu z poczucia odpowiedzialności za szczęście swych dzieci i za zdrowie i siły żywotne swego narodu, uwzględniać czynniki eugeniczne przy wyborze żony lub męża, oraz używać takich środków, które mogą im dopomóc w spełnianiu tych obowiązków. Papież ‚Pius XI, w swej encyklice „O małżeństwie chrześcijańskiem" (Casti conubii) z eugenicznych powodów odrzucił wprawdzie sterylizację, lecz polecił zasięgać porad eugenicznych przed zawarciem związku małżeńskiego.

Ich zaś potrzeba dziś bardziej niźli w przeszłości. Dawniej bowiem miała rodzina mniej lub więcej rozstrzygający głos przy wyborze żony lub męża, a starsza generacja przykładała wielką wagę, by jej synowie czy córki łączyli się węzłem małżeńskim z osobami zupełnie zdrowemi. Dziś jednak młodzież jest bardziej niezależna i samodzielna, jeśli chodzi o wybór żony lub męża. A gdy młodych ludzi ogarnie ponadto namiętna miłość, wówczas wzrok ich ślepnie do tego stopnia, że zgoła nie spostrzegają zdrowotnych braków, które nie mogą ujść sprzed oczu trzeźwego obserwatora. Przychodzi pokusa mówić tu o pewnym podstępie, używanym przez naturę.

Dołącza się jeszcze i ta okoliczność, że instytucja lekarzy domowych, którzy od lat całych, a niekiedy od lat dziesiątek znają rodzinę i przed zawarciem małżeństwa mogliby służyć za doradców, że ta instytucja coraz bardziej zanika, głównie wskutek ustawodawstwa w dziedzinie socjalnej.

Toteż ze względu zarówno na osobiste szczęście jednostki, jak na dobro narodu, konieczne jest powstanie eugenicznych poradni małżeńskich. O ile one zostaną urzeczywistnione, wówczas dla osób, które zapragną połączyć się węzłem małżeńskim, zaistnieje obowiązek prawny wykazać się wzajem swemi paszportami zdrowotnemi jeszcze przed zawarciem związku małżeńskiego. Paszporty owe zawierają wyniki badań nad dawniejszem życiem zasięgającego porady w stosunku do jego dotychczasowego, cielesnego rozwoju, jak również wykazują stan zdrowotny jego przodków i krewnych, zawierają tedy tak zwaną anaennezę, oraz świadectwo o stanie zdrowia w danej chwili, świadectwo, które na podstawie przeprowadzonego przez siebie badania wydał szczególnie wyspecjalizowany lekarz-doradca w sprawach małżeńskich. Dalej musi paszport zdrowotny uwzględnić możliwość przekazywania ewentualnych chorób ustalonych u zasięgającego porady i na podstawie zebranych, konkretnnch danych orzec jego zdolność do małżeństwa.

Dzisiaj daleko nam jeszcze do takiego urzeczywistnienia poradni małżeńskich. Niema jeszcze prawnego obowiązku udzielać sobie wzajemnie wiadomości o stanie zdrowotnym. Gdzie zdarzy się wymiana świadectw zdrowotnych między zaręczonymi lub ich rodzicami, dzieje się to zupełnie dobrowolnie. Lecz takie wypadki zachodzą stosunkowo rzadko, gdyż społeczeństwo nie przekonało się jeszcze w dostatecznej mierze a zależności od siebie cielesnego i duchowego zdrowia potomstwa i nie odczuwa wystarczająco obowiązku wstępowania w związki małżeńskie w stanie zdrowotnym.

Do eugenicznych żądań, które powinny być uwzględniane przy wyborze żony lub męża, należy również unikanie zawierania małżeństwa pomiędzy krewnymi. Katolik, dla którego pokrewieństwo i szwagrostwo aż do czwartego stopnia stanowi przeszkodę małżeńska, już choćby dla tych religijnych powodów nie będzie wybierał przyszłej żony z pośród swych bliższych krewnych. Podobnie postąpi również katoliczka. Lecz także eugenik przestrzegać będzie w większości wypadków przed zawieraniem małżeństw pomiędzy krewnymi. Nie z tego tak bardzo względu, że związek małżeński pomiędzy krewnymi pozostaje często niepłodny, albo że ilość dzieci jest w niem bardzo nikła — co do tych dwóch następstw nie zgadzają się wzajemnie poglądy eugeników — ale ponieważ w takim związku jest spotęgowane prawdopodobieństwo zbiegu recessywnych skłonności dziedzicznych. Jeżeli oboje małżonkowie wskutek swego wspólnego pochodzenia posiadają podobne, chorobliwe skłonności, to na podstawie praw dziedziczności przyjąć należy, że one zjawią się i wystąpią w silniejszych rozmiarach u potomstwa, choćby nawet pozostały w ukryciu u rodziców. Naturalnie, że w małżeństwie pomiędzy krewnymi mogą zbiec się również zdrowe, recessywne skłonności i później wystąpić także u potomstwa. W ten sposób, ale to tylko w wypadkach wyjątkowych, mogą przychodzić na świat wybitnie wartościowi ludzie. Dobro i dobro rodzi tu również dobro, jak zło i zło wydaje podwójne zło. Ponieważ jednak rodziny bez dziedzicznych, chorobliwych skłonności należą do bardzo wielkich rzadkości, dlatego każdemu małżeństwu pomiędzy krewnymi zagraża niebezpieczeństwo, że mogą one wystąpić u ich potomstwa. W okolicach, gdzie małżeństwa pomiędzy krewnymi są rzeczą pospolitą, może nauczyciel ich zgubne następstwa zauważyć często na swych własnych uczniach. Toteż tylko w razach wyjątkowych eugenik nie będzie usilnie przestrzegał przed zawarciem małżeństwa pomiędzy członkami tejże rodziny.

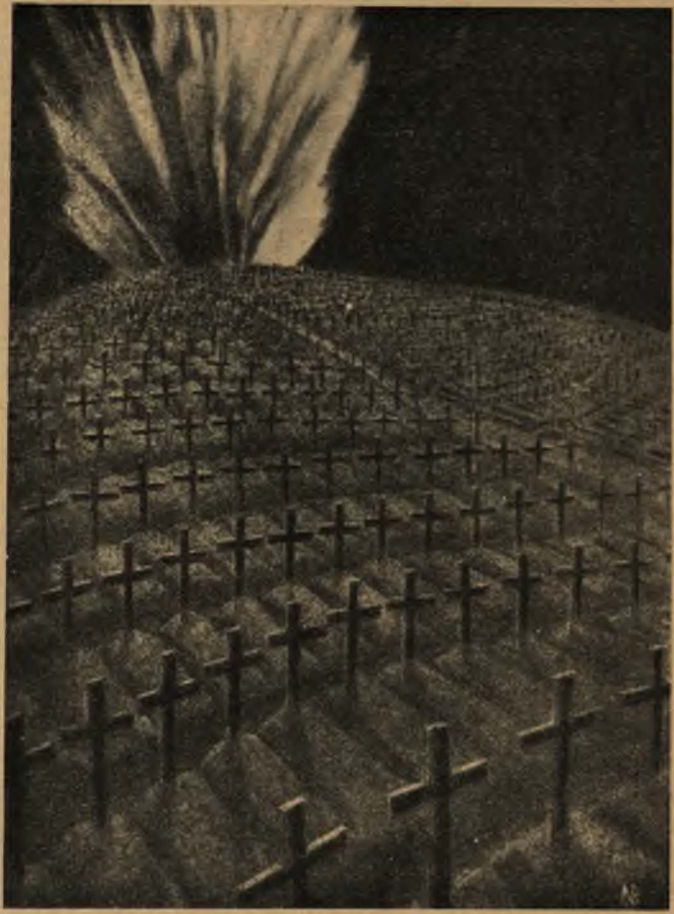
A. S. ASTON

WATYKAN RZECZNIKIEM POKOJU

Kościół zawsze trzymał się swej zasady: zgrozy przed rozlewem krwi. Kiedy Ludwik XIV kazał trzebić protestantów wbrew opozycji Fenelona i Bossueta, papież Inocenty XI napisał mu, że „misja uzbrojonych apostołów nic nie jest warta... gdyż Chrystus się nią nie posługiwał do nawracania świata".

W myśl tej zasady Stolica Apostolska niejednokrotnie łagodziła międzynarodowe konflikty na drodze dyplomatycznej, gdy obydwie strony, wiodące ze sobą spór, zwracały się do Ojca św. o interwencję. Taktyka jednak Stolicy św., stojącej ponad sprzecznemi interesami państw i grup społecznych, zmierza do tego, aby rozstrzyganie chwilowych powikłań dyplomatycznych i politycznych pozostawiać specjalnym do tego powołanym instytucjom, jak Międzynarodowy Trybunał w Hadze lub Liga Narodów w Genewie.

Ta neutralność w dziedzinie sporów politycznych ze strony Stolicy św. została podkreślona w Traktacie Laterańskim z dnia 11 lutego 1929 r. w artykule XXIV, gdzie powiedziano: „Ze względu na swą suwerenność, którą zachowuje też na gruncie międzynarodowym, Stolica Apostolska oznajmia, że pragnie stać ponad doczesnemi sprawami i nie ma zamiaru w drodze dyplomatycznej mieszać się do sporów mędzynarodowych, wyjąwszy wypadki, gdy obie strony, które popadły w konflikt, zwrócą się do Ojca św. z prośbą o podjęcie misji pojednawczej. Jednocześnie jednak Stolica św. zastrzega sobie na gruncie międzynarodowym prawo do każdorazowej interwencji moralnej. W ten sposób Watykan zachowa we wszystkich wypadkach stanowisko neutralne i zapewni sobie nienaruszalność swych terytorjów".



Inż. Bohdan Nowak — *Krzyże zasługi*



Inż. Bohdan Nowak — *Cywilizacja*

Jeżeli więc chodzi o konflikt włosko-abisyński, to wiadomo, że ani jedna, ani druga strona nie zwracały się do Stolicy św. z prośbą o podjęcie interwencji dyplomatycznej i dokąd taki apel nie nastąpi, Stolica św. pozostanie na drodze dyplomatycznej neutralną.

Zachodzi zatem pytanie, czy w dziedzinie moralnej Ojciec św. użył przysługujących mu środków, aby nieszczęsny konflikt zażegnać?

Otóż wykażemy tu dokumentami, że Papież podjął w tym względzie wszelkie możliwe usiłowania i wyraźnie podkreślił swe stanowisko Najwyższego Moralnego Zwierzchnika ludzkości, pragnącego zapobiec straszliwemu nieszczęściu, jakiem jest wojna. Z tych przytoczonych dokumentów okaże się, jak bezpodstawne są zarzuty wrogów Kościoła, dających do zrozumienia, że Papież pokrywa milczeniem, a więc jakby toleruje napaść Włochów na Abisynję. Ci co tak ośmielają się twierdzić — albo nie czytali licznych enuncjacyj, ostrzeżeń i nawoływań Ojca św. Piusa XI, albo też czytając, zapomnieli o tem.

* * *

Jak wiadomo, konflikt między Włochami a Abisynją rozpoczął się 5 grudnia 1934 r., kiedy nastąpił t. zw. „incydent w Ual-Ual", gdy grupa uzbrojonych

Abisyńczyków stoczyła walkę z kolonjalnym oddziałem włoskim. Prawie bezpośrednio potem Włochy zaczęły się przygotowywać do represji zbrojnej. Zanim świat zdał sobie sprawę ze znaczenia incydentu w Ual-Ual, Włochy zaczęły szykować się do wojny. Abisynja wówczas jeszcze ograniczała się tylko do wyjaśnień na drodze dyplomatycznej, próbując wobec Ligi Narodów uzasadnić swe racje i swą neutralność. Tak sprawy ciągnęły się przez wiosnę i lato r. 1935, aż wkońcu Włochy, gdy już przygotowały się technicznie, ogłosiły mobilizację — a 3 października wybuchła wojna.

Cóż w owym czasie uczynił Następca św. Piotra? Oto posłuchajcie, jak zdecydowanie Ojciec św. wystąpił przeciwko wojnie. W przemówieniu swem, wygłoszonem do Kolegjum Kardynałów w dzień wigilijny r. 1934, a więc już w 3 tygodnie po incydencie w Ual-Ual, Jego Świątobliwość wyraźnie oznajmił:

„Gdyby jednak ktokolwiek ośmielił się popełnić tę ohydną zbrodnię (wojny) — wówczas nie będziemy mogli uczynić nic innego, jak zwrócić się duszą zbolałą ku Bogu z tą modlitwą: „Rozprosz narody, które pragną wojny!" (Ps. 67, 3).

A więc widzimy, że papież Pius XI jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych i przed sesją Ligi Narodów wygłosił mowę, w której bardzo stanowczo i wyraźnie wystąpił przeciw wojnie napastniczej. Toteż mowę tę powszechnie wówczas komentowano, jako ostrą przestrogę pod adresem Italji faszystowskiej.

Ale pomimo tego wyraźnego ostrzeżenia ze strony Stolicy Piotrowej Włochy nie zaprzestały podówczas przygotowań wojennych.

I oto w owym czasie Papież zabiera głos po raz wtóry. Z okazji konsystorza, który się odbył w dniu 1 kwietnia 1935 r., Ojciec św., nawiązując do bieżących wypadków, powiedział:

„Ponieważ szerzone powszechnie wieści o wojnie są dla wszystkich przyczyną zamętu i rodzą wielkie obawy, uważamy za słuszne zabrać w tej sprawie głos, jak to nakazuje powierzony Nam urząd apostolski. Aby narody miały nanowo podnieść broń jedne przeciw drugim, aby nanowo lać się miała krew braci, aby na ziemi, na morzu, w powietrzu znów miało się szerzyć zniszczenie i ruina — wszystko to wydaje się zbrodnią tak olbrzymią, objawem szaleństwa tak obłędnego, że uważamy to za absolutnie niemożliwe"...

* * *

Oto potępienie wojny jasne, zdecydowane... Oczywiście należy zrozumieć, że sytuacja Ojca św. jest nader trudna. Będąc z urodzenia Włochem, musi on siłą rzeczy odczuwać losy swego narodu — ale gdy przemawia i działa jako Ojciec chrześcijaństwa, jako Następca św. Piotra, wtedy — jak widzimy — ustają już wszelkie osobiste uczucia, a pozostaje jedynie troska o dobro Kościoła i ludzkości. I wtedy bez wszelkich kompromisów Ojciec św. potępia wojnę i tych, co prowadzą do wojny.

Nawoływania więc Ojca św. nie ustały. Dn. 8 sierpnia 1935 r. z okazji uroczystości, poświęconej pamięci

Inż. Bohdan Nowak *Modlitwa syna za ojca, który poległ na wojnie*



Czcigodnego Justyna de Jakobis, umęczonego za wiarę przez Abisyńczyków, Ojciec św. podkreślił wielkie zasługi, jakie ten sługa Boży uczynił dla dzieła apostolstwa w Abisynji. I w owym czasie, gdy dyktator Italji już był prawie gotów rozpętać pożogę wojenną, Papież znowu występuje zdecydowanie w obronie pokoju, wołając:

„Dotychczas jeszcze pokładamy całą swą nadzieję w pokoju Chrystusowym i w Królestwie Chrystusowem. Mocno wierzymy, że nic nie może zajść takiego, coby sprzeciwiało się zasadzie prawdy, sprawiedliwości i miłości".

Trudno przypuścić, aby wypowiadając te słowa, Ojciec św. pragnął dać do zrozumienia, że inwazja Włoch do Abisynji jest zgodną z zasadą prawdy sprawiedliwości i miłości. A więc jasno wynika ze słów Papieża, że i tym razem potępił on bezwzględnie wojnę napastniczą.

Wreszcie dnia 27 sierpnia 1935 r., przemawiając do delegatek międzynarodowego kongresu pielęgniarek katolickich, — Ojciec św. znowu wypowiedział się przeciwko wojnie. Tym razem cenzura faszystowskiej Italji skreśliła z łamów prasy niektóre fragmenty z przemówienia Papieża — co spotkało sę z protestem organu watykańskiego „Osservatore Romano", który dnia 30 sierpnia 1935 r. podał skreślone przez cenzurę rządu włoskiego słowa Papieża. Brzmiały one, jak następuje:



Inż. Bohdan Nowak *Ludy wstrzymajcie się!*

„Jedno jest dla Nas jasne — mówił Papież — że nawet potrzeba ekspansji terytorjalnej nie usprawiedliwia użycia siły i że prawo narodu do samoobrony też ma swe granice i że ta samoobrona musi być umiarkowaną, jeżeli nie ma stać się karygodną. A nawet jeżeli taka potrzeba ekspansji istnieje, jeżeli zachodzi konieczność samoobrony — to jednak nie przestajemy wierzyć, że te trudności mogą być rozstrzygnięte za pomocą innych środków, aniżeli wojną".

Widzimy więc, że i tym razem Ojciec św. postawił sprawę wojny i pokoju tak jasno, że aż oświadczenie to stanęło w kolizji z zamierzeniami rządu wołskiego, usiłującego świat przekonać, że jedynym środkiem rozstrzygnięcia konfliktu z Abisynją może być tylko wojna.

A więc, gdzie tu „kompromisowość Watykanu", o której mówią wrogowie Kościoła? Już w październiku r. 1935 „Osservatore Romano" zmuszone było wystąpić z polemiką przeciw oskarżeniom Lausbury'ego, który pomawiał Watykan o sprzyjanie wojnie. A przedtem jeszcze ataki przeciwko Stolicy Apostolskiej ze strony wrogów Kościoła były nieraz tak krzywdzące, że np. dnia 14 września r. 1935 „Osservatore Romano" i inne organy prasy katolickiej zmuszone były zamieścić sprostowanie przeciwko oszczerstwom propagandy sekciarskiej i komunistycznej, która rozpowszechniała wiadomości, jakoby wojna w Abisynji była finansowana (!) przez Watykan.

Tymczasem fakty wykazują, że Ojciec św. rzucił na szalę wypadków w związku z wojną w Abisynji całą swą moralną powagę Namiestnika Chrystusowego. Dnia 7 września 1935 r. w przemówieniu swem do byłych Kombatantów z czasów wojny światowej; dalej w swem przemówieniu z okazji Kongresu Eucharystycznego w Cleveland, dnia 26 września 1935 r.; następnie w swem orędziu wystosowanem do zgromadzonych na Kongresie Eucharystycznym w Limie (stolicy Rzeczypospolitej Peru) dn. 27 października 1935 r. — we wszystkich tych enuncjacjach Ojciec św. wracał stale do tej samej zasady — że pokój wśród skołatanej niedolą dzisiejszej ludzkości musi być za wszelką cenę utrzymany, że wojna byłaby nieszczęściem i zbrodnią.

W przemówieniu swem np. do Kombatantów (7 września 1935 r.) Ojciec św. wołał:

„Jako Namiestnik Jezusa Chrystusa, modlimy się o pokój. To jest naszym szczególnym obowiązkiem, który jest tak ważny, że gdybyśmy go zaniedbali, nie spełnilibyśmy zadań związanych ze stanowiskiem Papieża. Pokój jest nieodzownym warunkiem wszelkiej pomyślności i rozwoju gospodarczego, duchowego i kulturalnego... Dlatego zawsze błagamy Boga o pokój".

Dokończenie art. Sigrida Undset na tle swojego kraju.

Zwolna zachodziło górskie słońce, a z nim mijał czas, darowany mi hojną dłonią przez „samotnicę z Lillehammer".

Wparę godzin później unosił mnie rączy pociąg kolei górskiej spowrotem do Oslo.

Tak — przyroda Norwegji, to wielka rzecz. Lecz nie mniej warte jest odbicie jej wzniosłej surowości w twórczości Sigridy. Siła jej talentu kazała wszak miljonom czytelników poznać i pokochać jej daleką ojczyznę. Kto wie, czy siła jej wiary w obecnym okresie twórczości, nie dokona czynów, o wiele większego znaczenia.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

SÓWKA.

Jechaliśmy długo lasami.

Szeroki gościniec, porysowany kapryśnemi koleinami wozów, wił się zlekka i wciskał coraz dalej między dwie, podniebne ściany zieleni, pachnące wiosną. Nie mogłem się dość nacieszyć i napaść oczu swoistem pięknem drzew, migotliwą grą światłocieni w głębinach leśnych. Słuchałem, jak w cichym, zadumanym poszumie las gadał coś z niebem i ziemią, snuł tajemnice prawieczne. Zda się mówił, że pośród wszystkich dzieł Bożych pod słońcem on wyrósł najwyżej...

Pełną piersią oddychałem czystem, świeżem, wonnem tchnieniem największego z Bożych dzieł.

Tymczasem las urwał się nagle i oczom moim ukazała się wielokilometrowa pustać leśna. Nikłe tylko i karłowate tu i ówdzie krzewy, sterczące samotnie maszty martwych drzew, pozbawione konarów, igliwia i liści, a pomiędzy niemi, najwidoczniej przenaczone na sprzedaż, ułożone symetrycznie pod liczbą i linją, stosy zrąbanego drewna.

Mimowolne uczucie żalu targnęło mi duszą na widok tej umarłej przestrzeni.

— Kto zniszczył tyle kilometrów tak ślicznego lasu? — spytałem woźnicy.

Zagadnięty spojrzał na mnie, potem wzrokiem ogarnął szarą dal pustkowia i rzekł krótko:

— Sówka.

Tak. Ona to była przyczyną tej opłakanej, nagłej śmierci borów. Ubiegłej wiosny osiadła na ogromnej przestrzeni. Drobny, lecz okropny, niepoliczony owad leśny. Zagarniać zaczęła dla siebie drzewo za drzewem, dział za działem, połać za połacią leśną.

Drobny, lecz okropny wróg lasów. Uderzyła nie w mocarne, potężne pnie drzew, nie sięgała do korzeni olbrzymów leśnych. Uderzyła w ich zielone, kwitnące właśnie korony. Zaczęła zjadać liść za listkiem, pożerać chciwie, jak szarańcza, majowe igliwie sosen, świerków, jodeł. Prawie na pół kilometra z oddali słychać było, dojeżdżając, nieustanny szum tej zażartej, nieustępliwej, szalonej traczki. Bez przerwy, bez wytchnienia pracowały miljardowe piły lilipuciej, strasznej armji...

Pracowały aż do skutku. Ogołocony z igieł i liści, las przestał oddychać i umarł. Reszty dokonała siekiera. Pozostało tylko wspomnienie dawnego piękna i ogromna, przygnębiająca pustka.

Wysłuchałem opowiadania woźnicy o niszczącej pracy małego owadu i przed oczyma mej duszy zarysował się inny obraz — jeszcze straszliwszego zniszczenia w dziedzinie ducha.

Znam inny las, co buja wysoko pod niebiosa i znam inną sówkę, co go w oczach naszych pożera. Dzień za dniem, godzina za godziną. Nieubłaganie, a niespostrzeżenie dla wielu.

Jak wspaniały las ducha, rośnie wiara. Małe nasionka z niebios, na ziemi posiane Chrystusową dłonią, wyrastają w sercach najwyżej, idą w niebiosa niebios... Wyrastają w każdem sercu. Zapuszczają korzonki, potem korzenie zasad dekalogu w każdem sumieniu, głębiej lub mniej głęboko, zależnie od natury drzewa. Następnie z delikatnego kiełka naiwnej, dziecinnej wiary, z wiotkiej latorózgi młodocianych, chwiejnych poglądów, tworzą silny pień dojrzałych przekonań religijnych. Pień, uwieńczony wspaniałą koroną gałązek, gałęzi, konarów, otulony zielenią liści, owiany wonią kwiatów — różnorodnych przejawów życia religijnego, modlitw, nabożeństw, sakramentów...

Na ten las, rozrosły potężnie z wiekami w narodzie, przychodzi klęska zniszczenia — sówka.

Nie uderza najpierw w dekalog, nie uderza w pień przekonań religijnych. Byłoby to zbyt wyraźne wrogie nastawienie wobec wiary. Sówka religijna postępuje ogledniej. Atakuje wiarę w niepozornym, małoznaczącym, zda się nawet nic nie znaczącym punkcie. Zjada listki i kwiecie drzew. Osiada na licznych i różnorodnych ćwiczeniach katolckiej pobożności. Tym wypowiada walkę. Najpierw uboczną, potem coraz wyraźniejszą, coraz śmielszą, coraz bardziej bezczelną...

Boże drogi! przecież taka drobnostka! — mówi, tłumacząc się z uśmiechem politowania nad naiwnością katolicką... My szanujemy religję. Wiary w Boga nie ruszamy. Pozostawiamy każdemu wolność przekonań religijnych. Ale tylko usuwamy z widoku publicznego te różne katolickie dewocje.

Komuż one dziś potrzebne?! Rażą oczy innowierców. Krzyże przy drogach? Niedługo więcej będzie krzyżów w Polsce, niż drzew pożytecznych. Po co krzyże na salach wykładowych szkół, gimnazjów, uniwersytetów, biur ministerjalnych, wojewódzkich, gminnych, w lokalach rządowych i prywatnych? Po co modlitwy jakieś tam — przed jedzeniem, po jedzeniu, przed sesją, po sesji, przysięgi, poświęcania, udział w nabożeństwach? Po co pacierz wieczorny, poranny, różańce, szkaplerze, medaliki cudowne, obrazki... Czyste dziecińístwo i bigoterja histeryczek...

Nie możemy na to pozwolić, żeby rozsądne, wykształcone społeczeństwo ulegało w swej masie takim dziecinnadom! Tępimy kołtuństwo religijne!

Hasło zostało rzucone! Na lasach katolicyzmu — w całym świecie i w Polsce — szalonemi chmurami osiada religijna sówka! Zjada listeczki drobne codziennej, serdecznej wiary, pożera kwiaty i owoce praktyk religijnych.

Nie widzą jej oczy miljonów, poddają się niszczącym jej wpływom... Dla mody, dla fasonu życia, dla względów otoczenia. Trzeba przecież iść z prądem czasu!

Tak, zaiste! Trzeba iść z prądem, ale mądrego czasu i tych mądrych oczu, które wypowiadają walkę sówce.

Rok temu w Warszawie ujawnił się taki mądry „duch czasu"! Studenci katolicy, nie widząc krzyża w sali wykładowej, zażądali umieszczenia go na ścianach uczelni. I zarządowi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zanucili całogodzinną pieśń:

My chcemy Boga w Szkole Głównej!
My hcemy krzyżów do jej sal!
My chcemy wiary, drogi równej,
Wiodącej wieś w słoneczną dal!

Było to hasło wielkie dla całej Polski! — Pieśń przeciw „sówce"!

Jan Czar.

A. JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

BIARRITZ
KĄPIELISKO MILJONERÓW

(Wrażenia z podróży).







Z Paryża do Biarritz jedzie się przez Negresse elektrycznym luxem. Dworzec wielki, radosny i jasny. Słońce rzuca pęki złotych promieni przez oszklony dach. Wzdłuż peronów zawieszone na drutach witają nas palmy. Inne stoją na ziemi w wielkich wazonach pod filarami.

Zręczny posługacz chwyta w milczeniu walizki i wiedzie nas ku wyjściu. Kilkadziesiąt hotelowych aut ofiaruje swoje usługi. Wybór ogromny. W powietrzu krzyżują się nazwy wspaniałych hoteli, wytwornych pensjonatów, komfortowo urządzonych willi i pałacyków. Wybieramy po namyśle taki, który znajduje się w pobliżu oceanu.

Krętemi ulicami w górę i na dół szybko mknie auto. Czystość na ulicach idealna. W oczy bije komfort i elegancja kawiarń i restauracyj. Domy i domki piękne, każdy w inym rodzaju. Biarritz nie hołduje żadnej architekturze, nie posiada monumentalnych gmachów wywołujących zdumienie ani stylowych will i pałacyków. A jednak wszystko razem zachwyca, bo jest śliczne.

Zajeżdżamy do hotelu, poczem po spożyciu drugiego śniadania, spragnieni słońca i światła, żądni wrażeń i widoków wybiegamy na miasto.

Ulice Biarritz posiadają niejednolity charakter. Jedna jest wesoła, śmiejąca się, powabna. Białe wille i pałacyki lśnią w słońcu radosne i patrzącemu na nie wydaje się, jakby w tych murach wiecznie gościło szczęście, brzmiał śmiech beztroski i szumiała radość życia. Inna czyni wrażenie zamyślonej i melancholijnej. Łagodnemi skrętami wije się ku górze. Strzeliste i czerwone dachy, architektura domków, pokryte zielenią balkoniki i małe tarasy, wszystko to tchnie średniowieczem. Jest cicho i spokojnie.



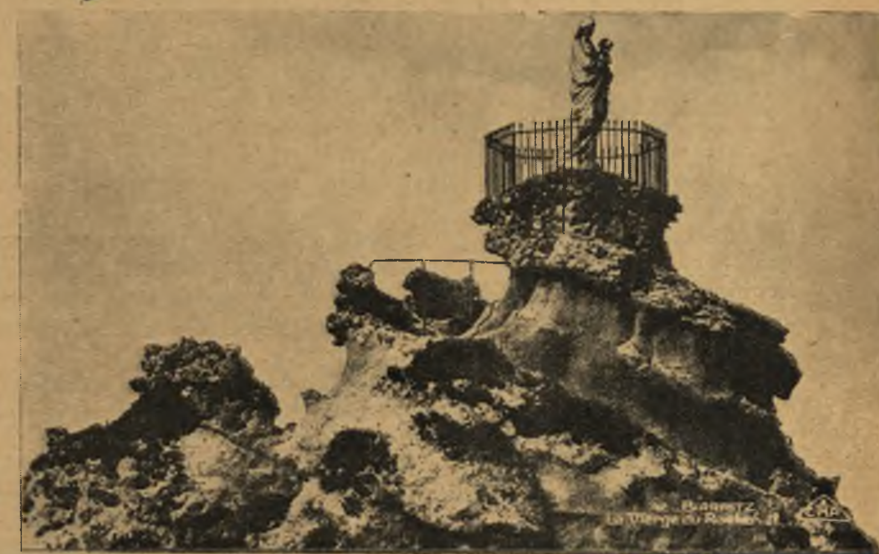
Idziemy w górę. Na końcu ulicy wyrasta nagle przed nami domek dziwnego kształtu niczem spiczasta czapka alchemika. Białe ściany, okna i drzwi do złudzenia naśladują z oddali twarz ludzką. Dochodzimy do niego i oto oczom naszym ukazuje się łagodne zbocze z zygzakowato biegnącemi ścieżkami, Wszędzie rozrzucone ławki kryjące się w cieniu palm. Przed ławkami piękne klomby i mały, karłowaty żywopłot. Wreszcie niebo gorejące słońcem i wspaniały, majestatyczny obszar oceanu.

Są również ulice, których atmosfera nabrzmiała jest smutkiem i przygnębieniem. Wysmukłe pinje ciągną się po obu stronach niczem orszak żałobników. Wielkie kamienice przysłaniają niebo. Powietrzem targa ponury łoskot fal niewidzialnego oceanu, czyniąc wrażenie nadchodzącej burzy.

Uciekamy z takiej ulicy, dążąc do słońca. W drodze mijamy barwny pałac Napoleona III-go, który często przyjeżdżał do Biarritz, przeżywając te smutne chwile za-









FR. W. FOERSTER

BŁĘDY PEDAGOGIKI

Indywidualizm nowoczesny nigdzie chyba tak złowieszczo nie zaciążył jak w dziedzinie pedagogiki seksualnej. Słuszna sama w sobie zasada, że dla przygotowania do obowiązków istotnego i pełnego życia należy dać młodzieży poważne przedstawienie pewnych jego niebezpieczeństw i odpowiedzialności, doprowadziła stopniowo do jakiegoś doktrynerskiego sposobu uświadamiania płciowego, którym osiąga się właściwie przeciwny zamierzonemu skutek. I wogóle cała nowoczesna sztuka wychowania coraz więcej cierpi pod wpływem różnych szczególnych metod postępowania, mających na celu jakieś określone oddziaływanie, a nie wiążących go w normalny stosunek z resztą równie ważkich oddziaływań, które winny je ograniczyć, uzupełnić i wreszcie poddać pewnym prawom wyższego rzędu. Tylko takie uwzględnienie w sposobach postępowania pedagogicznego najwyższych prawd poznania dusz ludzkich jedynie może ustrzec od ciężkich błędów i szkodliwej przesady. Tych pedagogicznych specjalistów i doradców narzucających się społeczeństwu na każdym kroku ze swemi metodami, możemy porównać do lekarzy-specjalistów, nie mających głębszej znajomości życia organizmu ludzkiego, wskutek krańców specjalizacji i nieuwzględniających oddziaływań ubocznych stosowanej przez siebie kuracji.

To oddziaływanie uboczne nieraz zabójcze, staje się wówczas głównym oddziaływaniem, uszkadzającym najważniejsze organy, o co się ci panowie bynajmniej nie troszczą. Dobry chirurg wie jak należy się wystrzegać przy cięciu uszkodzenia główniejszych naczyń krwionośnych, a przecież istnieją również i duchowe arterje główne, których nie wolno okaleczać, a które powinien znać ten, który się na taką duchową operację odważa. Jedną z takich głównych arteryj krwionośnych jest poczucie wstydu, — wstydliwość, która jest pewnego rodzaju objawem instynktu zachowawczego podświadomego życia — wobec nazbyt natarczywej refleksji zmysłów. Jak nieostrożny lekarz przez zastosowanie nazbyt silnego naświetlenia zrakowaceń czy wyrzutów, — niszczy i rozjątrza otaczającą zdrową tkankę, tak pedagog przy zbyt natarczywym uświadamianiu, szczególniej w szkole, może spowodować nieobliczalną szkodę przez zniszczenie czynników stokroć ważniejszych dla utrzeżenia się od zboczeń seksualnych, niż nieoględne uświadomienie. Jeden z wybitnych psychoanalityków współczesnych, ostrzegając przed groźnem niebezpieczeństwem całkowicie słusznie pisze: „Jestem zdecydowanym przeciwnikiem systemu uświadamiania płciowego, tak obecnie usilnie propagowanego, w którym dostrzegam znamiona psychozy i uważam go za objaw psychicznego exhibicjonizmu (bezwtydnego obnażania). Masowe uświadamianie w szkołach jest niesłychanym pomysłem, którego przeprowadzenie spowoduje napewno podniecenie ogólne i pobudliwość w kierunku marzeń seksualnych. Podobnie i przyrodnicze masowe uświadamianie wydaje mi się nie do przeprowadzenia. Zagadnienie może być z korzyścią rozwiązane jedynie przy traktowaniu indywidualnem. Najlepiej w odpowiednim wieku rodzice powinni sprawy płciowe oświetlić w rozmowie z dziećmi, naturalnie i prosto, bez uroczystej pozy i tajemniczych ceremonij. Dzieci powinny te sprawy naturalnie, stopniowo sobie uświadamiać, nie zajmując się niemi i nie zaciekawiając przedwcześnie. Nie powinniśmy zapominać, że źródła rozbudzonej cie-

---

dumań i marząc o niebotycznej potędze i sławie swego genjalnego stryja. Dziś pozostał po nieszczęśliwym cesarzu wspaniały gmach-muzeum z ogromnym ogrodem, gdzie na ławkach wygrzewają się w słońcu właściciele książeczek czekowych z krainy dolara i funta.

Wchodzimy do pałacu. Przewodnik wskazuje nam drogę i wprowadziwszy nas do cesarskich komnat, przyciszonym głosem udziela objaśnień:

— Przy tem biurku cesarz przyjmował raporty. Biurko z bronzu i mahoniu. Lichtarze ręcznie wykonane ze złota. Cały gabinet kosztował pół miljona franków. Plafony na suficie...

Przerywam, podając pięć franków. Kłania się uniżenie i otwiera usta, aby ze zdwojoną energją rzucać przed siebie słowa.

Odzywam się tedy, śmiejąc się doń przyjaźnie:

— Płacę nie za objaśnienia, lecz za milczenie. Niech pan prowadzi i nic nie mówi!

Przewodnik zdziwiony kłania się powtórnie i w milczeniu odstępuje na bok.

Sypialnia mała, lecz urządzona z tajemnym przepychem. Buduar cesarzowej olśniewa nas i zachwyca. Widok z okien czarujący.

Mijamy komnaty cesarskie w milczeniu, pojąc oczy barwami i kształtami do syta. Mimowoli powstają myśli, że w takich warunkach żyjąc, człowiek nigdy nie traci z oczu piękna, gdzie każdy mebel jest poematem, pokój krainą baśni, a poczucie władzy i odpowiedzialności dodaje orlich skrzydeł i fantazji.

Wchodzimy oszołomieni i udajemy się na brzeg oceanu. Tu znów przemawia do nas piękno innego rodzaju. Dzikie, poszarpane skały wznoszą się ponad wzburzoną powierzchnię Atlantyku. Na tych skałach ręka ludzka wygładziła granit, rozrzuciła ziemię, zasadziła palmy i krzewy, poustawiała ławki i okoliła miejsca spacerowe kamienną balustradą. Do tych miejsc czarownych prowadzi droga przez mosty żelazne koronkowej roboty. W dole huczą bałwany i bryzga piana.

Po lewej stronie Biarritz amfiteatralnie zgrupowane koło Grande Plage. Po prawej Côte des Basques ginąca w Pirenejach. U podnóża gór wystrzelają ku niebu rozłożyste korony palm, senne i omdlałe z upadku.

W oślepiającym blasku południowego słońca wszystko skrzy się i mieni kolorami tęczy. Czasem ocean wygląda jak roztopione złoto. Czasem drga żywem srebrem lub bieleje grzywiastemi bałwanami. Albo z łoskotem spiętrzonych wód bije w potężne skały, poczem wachlarzami kładzie się na nadbrzeżu. Zawsze jednak jest piękny, majestatyczny i tajemniczy.

Widok taki podziwiamy z Rocher de la Vierge, na szczycie której stoi kamienny posąg Matki Boskiej, patronki rybaków i marynarzy.

Biarritz posiada piękny kościół pod wezwaniem św. Eugenji.

Na południu Francji wnętrza kościołów urządzone są w inny sposób aniżeli u nas. Wzdłuż ścian bocznych zawieszone są na dwuramiennych słupach galerje, czasem na cztery piętra wysokości. Pozatem niema ławek, natomiast znajdują się klęczniki pojedyńcze lub wieloosobowe. Przykładem tego może służyć kościół w St. Jean-de-Lur, dokąd z Biarritz jedzie się autobusem niecałe pół godziny .

kawości musimy dopatrywać się w seksualnych podnietach i że przedwczesne uświadamianie dzieci musi przyczynić w kulturalnym rozwoju ludzkości najpoważniejsze szkody".

W starożytnej legendzie o zejściu Psyche do podziemnego królestwa w momencie kiedy Eros rzucił na nią snop światła — tkwi głęboka nauka.

Racjonalizacja życia erotycznego i seksualnego, dokonywana przez nowoczesnych pedagogów, jest stokroć groźniejsza i bardziej demoralizująca od panowania ongiś (przepisów konwencjonalnej przyzwoitości i moralizatorskiego gderania.

Rozumie się, że roztropność i oględność powinna kierować temi sprawami, ale to nie przyjdzie drogą wyłącznie fozjologicznego uświadamiania, nie odwołującego się do ducha i jego praw. Oczywiście takie uświadamianie nie może wprowadzić rozsądku do świata popędów. Do głosu przychodzi tu jedynie nierozsądek instynktów, mącący jasność widzenia i schlebiający owym popędom.

Rozsądek wyższego rzędu może dojść do głosu w przeżyciach płciowych tylko wówczas, kiedy w okresie pierwszych niepokojów dojrzewania, a nawet jeszcze wcześniej, młody człowiek zostanie wprowadzony w atmosferę męskiego samoopanowania wobec przemocy niższych popędów, przeciwstawiania się instynktom stadnym, modzie środowiska i różnego rodzaju amoralnym nałogom. Powtóre rozsądek może przemówić głosem pamięci na bliźnich, nawet przy wesołości, żartach, oddawaniu się radościom życia, hołdując zasadom rycerskości nietylko zewnętrznym, ale biorąc je i praktykując w całej rozciągłości i konsekwencjach. Po trzecie, nakaz duchowego samoopanowania w platońskiem znaczeniu, odwaga wyjścia ze stanu zwierzęcości, pomimo drwin wszelkiego rodzaju dwunogich zwierząt, zwykle w porę przychodzą u młodych do głosu i głos ten znajduje posłuch. I wobec tego cała ta robiona gadanina o koniecznościach seksualnych młodzieży, sama przez się traci argumenty. Kłamstwem jest, jakoby właśnie młody człowiek tak ciężko był przez sprawy płciowe wstrząsany. Przeciwnie, jego pragnienia dużo wyraźniej skierowują się ku „wiekuiście kobiecemu", aniżeli ku doczesnie kobiecemu. Istotne pokusy przychodzą dopiero w późniejszym wieku. I właśnie ów zwykle romantyczny „zmierzch młodości" powinien pouczyć pedagogów, że sama natura czuwa, ażeby życie płciowe przed dojściem do dojrzałości zostało obwarowane potrzebami i aspiracjami wyższego rzędu, przez które w duszy ludzkiej porządek naturalny wiąże się w całość z jej życiowej gospodarki. Toteż w wieku młodocianym, pielęgnowanie ideału, znane jest starożytnym, — dla istotnego, duchowego opanowania świata popędów jest stokroć ważniejsze, stwarza daleko głębsze uświadomienie, aniżeli wszelkie bezpośrednie pouczenia i objaśnienia przyrodniczego, czy rozumowanego rodzaju. Z całą też słusznością taki postępowy pedagog amerykański, jak Stanley Hall, stanowczo ostrzega szczególniej przed uświadamianiem masowem dziewcząt w okresie rozpoczynającego się dojrzewania. Rezultatem takiego „zabiegu", będą tylko ciężkie duchowe załamania. Wszelkie ostrzeżenia co do skutków i pouczenia co do odpowiedzialności winny się w tym wieku odwoływać jedynie do duchowej odpowiedzialności i opierać na duchowych argumentach. A iluż to pedagogów dało się pociągnąć do zaślepionego, mechanicznego uświadamiania przez takie utwory, jak Wedekinda „Przebudzenie się wiosny", utwory, oparte na fantazji i fałszujące całą prawdę życia. Bo czyż przedstawioną tam zepsutą młodzież dałoby się uchronić od upadku przez formalne uświadomienie?

A więc wyliczyliśmy argumenty niebezpieczeństwa i daliśmy wyraźne otrzeżenia. Wszystko tu jednak zależy od ducha, panującego w całokształcie wychowania, od tego, czy wychowawca umie odwołać się do charakteru wychowanków, a nie od tendencyjnego, zawodowego traktowania istotnie groźnego niebezpieczeństwa.

Autor artykułu, światowej sławy pedagog, zajął się obszernie powyższą kwestją w dziele „Pedagogika i etyka płciowa", przełożonem na polski dwukrotnie i już wyczerpanem. — Widocznie prof. Foerster przykłada do sprawy uświadamiania szczególną wagę, skoro znalazł na nią czas i miejsce w swem aktualnem, bojującem o zwycięstwo idei katolickiej w Niemczech czasopiśmie, „Die Zeit". — (Przyp. tłum.).



Pierwsze zwiastuny wiosny

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

DWAJ BRACIA

— Dziwne upodobanie! Zachwycać się cudzemi dzieciakami, kumać się z chłopstwem i odgrywać rolę apostoła.

Antoni pobladł gwałtownie i ściągnął brwi z bólem. Przez chwilę zastanawiał się jakby nad odpowiedzią, poczem rzekł stanowczym głosem:

— Mój drogi! Moje życie należy do mnie! Sprawiasz mi przykrość nierozsądną krytyką. Są to zacni ludzie, którym niczego odmówić nie mogę. Jest mi z tem dobrze. Czuję się szczęśliwy. Czemu nie mam tego czynić?

Lucjan uścisnął żywo rękę brata. Na jego ruchliwej twarzy odbiło się zakłopotanie.

— Daruj mi! Widzisz... Jestem młody. Patrząc na szarzyznę waszego życia, jednostajność waszych zajęć, ubogie rezultaty pracy, nędze istnień wielu ludzi, bez jutra, bez przyszłości, czuję, że się duszę. Że brak mi tchu. Oszalałbym na twojem miejscu z ropaczy. Pomyśl: czy nigdy nie myślałeś o szerokim świecie? O podróżach przez oceany? O krajach, gdzie rosną palmy i słońce wiecznie przygrzewa? O jachtach miljonerów amerykańskich? O zabawach kwiatowych? Czy nigdy nie czułeś tęsknoty za innem życiem, wyższego rzędu?

Antoni położył ręce na ramionach brata i odparł, patrząc mu serdecznie w oczy:

— Wierzaj mi, że te rzeczy szczęścia nie dają. Szczęście jest w nas samych. Jeżeli człowiek pracuje i pomaga innym, zadowolenie stąd płynące nie może równać się z najcudowniejszą podróżą po świecie. Radość ze spełnionego obowiązku i radość uszczęśliwiania ludzi stanowią skarbnicę szczęścia dla prawdziwego człowieka.

Lucjan pochylił głowę w milczeniu.

Nie przekonały go słowa brata.

Upłynęło znowu kilka dni szarych i jednostajnych. Nadszedł wreszcie dzień koncertu.

Od samego rana panna Zofja czyniła przygotowania na tę uroczystość przy pomocy kuzynki swojej Stefci Letuskiej. W tym celu olbrzymia sala szkolna w Hejnałowie została opróżniona z ławek. W jednym końcu urządzono wzniesienie dla artystów. Na środku sali ustawiono rzędami sto kilkadziesiąt krzeseł pożyczonych na ten wieczór z rozmaitych biur i urzędów Hejnałowa. Przy wejściu stał stolik, przy którym zasiadła pani Odrowążyna, zbierając datki na najuboższych.

Pierwsi goście przybyli z niewielkiem opóźnieniem. Powoli sala zapełniała się ludźmi i rozbrzmiewała gwarem rozmów. Lucjan prezentował się wspaniale w czarnym garniturze. Ruchy jego były lekkie i swobodne. Na pierwszy rzut oka poznawało się w nim światowego człowieka. Panowie spoglądali nań przyjaźnie, panie uśmiechały się.

Panna Zofja ujrzawszy Lucjana, poczuła, że serce zabiło w niej przyśpieszonem tempem. Tak ładnie jak on nikt nie wyglądał na sali. Przedstawiła go swoim rodzicom, którzy zaprosili Lucjana na najbliższą niedzielę do Czarnolesia.

Pierwszy numer programu wypełnił chór mieszany hejnałowskiego Sokoła, który wykonał szereg poważnych pieśni. Potem Antoni wykonał koncert skrzypcowy C-moll Brahmsa, wywołując zachwyt wśród słuchaczy, którzy zmusili go do bisowania. Zagrał tedy kilka wirtuozowskich utworów w opracowaniu Paganiniego. Na tem skończyła się część pierwsza koncertu. Podczas przerwy do panny Zofji zbliżył się Lucjan. Młoda dziewczyna była jeszcze pod wrażeniem muzyki. Oczy jej błyszczały, na twarz wystąpiły lekkie rumieńce.

— Przepięknie gra pański brat — rzekła z zachwytem — mogłabym słuchać jego muzyki do końca życia.

Lucjan uśmiechnął się.

— Nie wiedziałem, że jest pani taka uczuciowa — odparł — Antoni gra dobrze, lecz w pani oczach widzę upojenie.

W tej chwili do rozmawiających zbliżył się pan Sitko. Obaj mężczyźni podali sobie ręce i wymienili nazwiska. Ponieważ pani Odrowążyna potrzebowała pomocy, przeto panna Zofja odeszła do stolika, przeprosiwszy obu panów.

Pan Sitko, patrząc na oddalającą się dziewczynę, westchnął i rzekł:

— Prześliczna panna! Szczęśliwa i bogata!

Lucjan spojrzał nań ukradkiem i rzucił od niechcenia:

— W dzisiejszych czasach wielu obywateli ziemskich pozornie uchodzi za bogatych, a w rzeczywistości są zadłużeni po uszy.

— Naogół tak jest — odpowiedział pan Sitko — pan Czarnolaski jednak posiada krochmalnię, która mu przynosi wielkie dochody. Pozatem majątek posiada czystą hipotekę. Właściciel bowiem w czasach dobrych konjunktur dla rolnictwa ustrzegł się pokusie zaciągania łatwych pożyczek i to mu wyszło na dobre. Mówią, że dla córki przeznaczył dwieście tysięcy w posągu?

— Czy panna Zofja jest jedynaczką?

— Jedynaczką i to ukochaną przez rodziców. Po ich śmierci cały majątek przejdzie na nią.

— Czarnolesie to duży majątek?

— Oj, duży — ciągnął pan Sitko — pięćset morgów ziemi ornej i trzysta lasu. Budynki w doskonałym stanie, inwentarz kompletny.

W takim razie panna Zofja to miljonowa panna — rzekł Lucjan, przyczem oczy błysnęły mu dziwnie.

— Prawie.

W tej chwili rozpoczęła się druga część koncertu i obaj panowie wrócili do krzeseł. Śpiewała jakaś pani miłym głosem pieśni Karłowicza. Potem znowu wystąpił chór.

Po skończonym koncercie wszyscy goście poczęli się rozjeżdżać. Panna Zofja wracała w towarzystwie rodziców i kuzynki swojej Stefci Letuskiej. Obie panny zwierzały się sobie szeptem z przeżytych wrażeń.

— Spodobał ci się pan Lucjan? — zapytała panna Letuska.

— Bardzo przystojny i ma dobre oczy. Wiesz... patrząc na niego, odnosi się wrażenie, że to musi być szlachetny człowiek. Ślicznie mówi. Posiada głęboki głos o aksamitnem brzmieniu — brzmiała odpowiedź nacechowana niezwykłem uniesieniem.

Tymczasem obaj bracia, wracając do domu, szli przez pewien czas w milczeniu. Wreszcie pierwszy odezwał się Antoni:

— Jakie na ciebie zrobiło wrażenie dzisiejsze towarzystwo?

Lucjan wydął wargi i wzruszył ramionami.

— Takie sobie! Panna Zofja jest dość miła! Nie spodziewałem się jednak, że rodzice jej są tak zamożni, jak mi opowiadał dyrektor cukrowni. Podobno ta dziewczyna ma otrzymać dwieście tysięcy w posagu.

— To cię tak interesuje? — Antoni przystanął i spojrzał na brata zdziwiony.

— Tak sobie mówię — zaczerwienił się Lucjan — a zresztą pieniądze to grunt, bracie! — zażartował nieszczerze.

Antoni nic nie odrzekł, tylko przyśpieszył kroku. Na twarzy jego malowała się przykrość.

Rozdział V.

Upłynął miesiąc. Lucjan nie myślał jakoś o wyjeździe, bywając częstym gościem w Czarnolesiu. Początkowo towarzyszył mu Antoni, serdecznie zapraszany przez uprzejmych gospodarzy, lecz po niedługim czasie przestał bywać zupełnie i wziął się z jakąś dziwną pasją do roboty. Jakby mu było zamało zajęć szkolnych, uczył wieczorami gry na skrzypcach syna organisty, pomagał księdzu w sporządzaniu rachunków przy odnawianiu kościoła, prowadził listę płacy robotników i wszędzie, gdzie potrzebna była jego pomoc, zjawiał się dobrowolnie. Duszę jego nurtował ból, któy chciał pokryć uciążliwą pracą. Zauważył bowiem, że Lucjan dość wyraźnie starał się o rękę panny Zofji. Młoda dziewczyna patrzała z wzrastającą sympatją na Lucjana, chętnie z nim rozmawiała, chodziła na dalekie spacery i było oczywistem, że chętnie przyjmie jego oświadczyny. Antoni nie marzył nigdy o podobnej chwili dla siebie, a jednak było mu przykro i boleśnie widzieć, jak ukochana przezeń dziewczyna zwracała się ku bratu, zapominając o nim.

Była również druga rzecz, która napełniała bolesnym niepokojem serce Antoniego. Z niedomówień Lucjana domyślał się powoli, że studja w Warszawie niekoniecznie miały znajdować się na najlepszej drodze. Nie miał odwagi zapytać o to bardziej stanowczo, czuł bowiem, że kryje się pozatem jakaś straszna niespodzianka. Zbyt kochał brata i zbyt chciał w niego wierzyć, aby podawać w wątpliwość słowa Lucjana. Bał się poprostu prawdy, którą intuicyjnie przeczuwał.

Czas mijał. Nadeszły gorące dni lata. Mąż praczki, sąsiadki Antoniego, dał się wreszcie namówić na pracę i otrzymał zajęcie przy tłuczeniu kamieni na szosie. Antoni chodził często z jego dziećmi na spacery i z radością w sercu widział, jak ten człowiek zmieniał się pod wpływem zajęcia i regularnego sposobu życia. Po robocie wieczorem przynosił dzieciom do domu cukierki, kupione w wiejskim sklepiku za rzetelnie zapracowane pieniądze i był dla żony uprzejmy i dobry. Przyczynił się do tego niemało zacny ksiądz proboszcz, który wezwał męża praczki na plebanję i miał z nim długą rozmowę.

Pewnego wieczoru Lucjan nie pojechał do Czarnolesia, ponieważ panna Zofja pojechała razem z matką w odwiedziny do dalszych krewnych, którzy posiadali majątek, znajdujący się o kilkadziesiąt kilometrów od Hejnałowa. Antoni, obserwując brata, zauważył w nim dziwnie radosne usposobienie. Lucjan pogwizdywał wesoło, chodząc po pokoju, wreszcie sam zagadnął:

— No cóż, braciszku, rzadkim gościem jestem u ciebie?

Antoni podniósł nań smutne oczy i odłożył czytaną książkę.

— Nie dziwię się tobie — rzekł cichym głosem — w Czarnolesiu jest znaczniej weselej, aniżeli w Hejnałowie. A zresztą masz tam towarzystwo, które lubisz.

Lucjan skrzywił się nieznacznie.

— Widzisz... z tobą mogę być szczery. Przyznam się zatem, że specjalnie ci ludzie nie wzbudzili we mnie uznania i sympatji. Papa Czarnoleski za dużo opowiada o swoich burakach, kartoflach i krowach. Cały dzień sterczy na polu, pilnując ludzi, niczem zwyczajny karbowy. Dobry z niego rolnik, ale średni inteligent. Mama znów zbytnio się zachwyca kurczętami i indykami. Obawiam się, że i córeczka pójdzie w ich ślady. To mnie jednak nie peszy. Grunt, że bogata!

— Antoni drgnął i spojrzał przenikliwie na Lucjana.

— Nie rozumiem ciebie! Co ty chcesz przez to powiedzieć? Do czego zmierzasz?

Lucjan zawahał się, poczem, odwróciwszy wzrok na stronę, rzekł:

— Powiedziałem ci, że chcę być z tobą szczery. Otóż... dość już mam tego podłego życia. Nie chcę walczyć o niepewne jutro, zdobywać gorzki kawałek chleba jako początkujący adwokat, którego zarobki ledwo będą starczały na papierosy i zapałki. Zresztą... niema co mówić o studjach. Daleka jeszcze do nich droga. Umyśliłem urządzić się inaczej. Ożenię się z panną Zofją i odrazu zdobędę niezależność!

Antoni powstał Twarz jego była blada jak płótno. Pomilczawszy chwilę, zapytał głuchym głosem:

— Czy ty ją kochasz prawdziwie?

Lucjan zrobił nieokreślony ruch ręką i wbił wzrok w podłogę.

— Miłość przyjdzie z czasem — odparł ze sztucznym śmiechem — narazie muszę przyznać, że panna Zofja dość mi się podoba.

Antoniemu drgnęły usta. Pociemniałemi z bólu oczyma popatrzał w milczeniu na brata, poczem wstał i wyszedł do drugiego pokoju. (D. c. n.).

J. NOARO

Z DZIEJÓW KINOMATOGRAFJI

Kiedy bracia Lumiere w ciasnej caveau wyświetlili swój pierwszy film — lat temu czterdzieści — pierwszy ten seans nie wywołał takiego efektu, jaki po tem oczekiwali.

Po przedstawieniu zgłosił się do nich niejaki George Melnier i zaproponował nabycie aparatu za kilkanaście franków, po chwili podbił cenę na kilkadziesiąt, a w dwie godziny potem skończył tę licytację na 70 tysiącach. Lecz nie zgodzili się. Wówczas Melnier udał się do Londynu, gdzie również pojawił się pierwszy aparat projekcyjny, i tam go nabył. Lecz bez taśmy wszystko było na nic. Wypadło ją zamówić zaraz zagranicą. Nadeszła wreszcie. Gdy jej odbiorca otworzył puszkę, okazało się, że celulozowy zwój niema naciętych ząbków. A potrzebne do tego maszyny były wogóle dwie lub trzy na świecie. Jedną z nich mieli Lumierowie, drugą Tomasz Alva Edison.

Lecz nasz amator nie dał się zrazić tym wszystkim przeszkodom i wreszcie, zmontowawszy wszystko, zaczął nakręcać swe filmy.

I przejawił w tej dziedzinie taką pomysłowość, tyle zastosował tricków, że dziś po czterech blisko dziesiątkach lat, gdy wyświetlano te filmy, zdumieli się wszyscy i stwierdzili, że nowoczesny film nie poszedł dalej.

Na czemże polega film? Definicja jego najprostsza brzmieć będzie: ruchoma fotografja, a ściślej fotografja następstwa ruchu. Oko ludzkie ma tę właściwość, że nie dostrzega przerwy między ruchami szybszymi od stosunku 32:1 sekundy. Stąd nasunął się wniosek dowcipnym wynalazcom, że gdyby uszeregować na długiej taśmie dużo zdjęć odtwarzających kolejne fazy ruchu w stosunku 1 do 32 i w odpowiednim do tego tempie wyświetlać te zdjęcia, powino się otrzymać wrażenie ciągłości ruchu.

Na tem oparła swe istnienie kinomatografja. Zamieniła one dawne bioskopy, w których ludzie poddawali się czarowi oglądania egzotycznych wydarzeń, czy krajobrazów. Statyczny ich charakter zastąpiła dynamika filmu.

Początkowo film rozkoszował się tą swoją możliwością fotografowania i odtwarzania ruchu. Pierwsze krótkometrażówki roiły się od awantur, bardziej nieraz nieprawdopodobnych, niż to dziś widzimy w amerykańskiej komedji.

Już filmy Melniera zdumiewają pomysłowością swych tricków. Dla nieprzyzwyczajonej publiczności działało to wszystko, jak czarodziejska bajka. Pędząca na widzów lokomotywa, czy walące się z Maksem Lindnerem rusztowania — wywoływały nieomal panikę.

Wkrótce jednak zaczęto obok groteski wprowadzać na film dramaty. Początkowo filmowano poprostu teatr, później zaczęto rozszerzać zasięg tla poza ramy dekoracji, rozwinięto bogate efekty architektoniczne, egzotykę dalekich autentycznych krajobrazów, zbliżono wreszcie twarz ludzką, by w olbrzymiem powiększeniu pokazać jej grę mimiczną.

Zaczęto próbować wszelakich tematów kryminalnych, bajkowych, podróżniczo-awanturniczych.

Stworzono nową ekspresję kinofilmową psychologji.

Lecz o tem należałoby pomówić oddzielnie.

W tym artykule musimy się ograniczyć do techniki filmowej. W jej zakres wchodzić będą oczywiście takie sprawy, jak sztuczne powodzie, potopy, rozstąpienie się wód Czewonego morza, skoki do przepaści, katastrofy, pożary. Tu rozwinięto całą nieograniczoną niczem magję widzenia ludzkiego oka.

Nowy wyraz ekspresji stanowi w rozwoju kina film rysunkowy. Nie jest on taką całkowitą nowością, gdyż już w początkach filmu spotykamy się z filmem marjonetek, rodaka Starewicza.

Dopiero jednak Fisher, a później Disney, ostatnio nawet udekorowany orderem, stworzyli naprawdę epokę swą koncepcją „bohaterów z kałamarza", różnych Miki Mouse, świnek, zajączków, Betty Boop itp. groteskowych figurek.

W tej dziedzinie dopiero objawiła się cała abstrakcyjność i arealność ekspresji filmowej. Przez ożywienie karykatury i groteski, dające możność zupełnego nieliczenia się z czasem, przestrzenią, z prawami bryły i ciążenia — w pełni zrealizowana została bajka.

Prawdziwą jednak rewolucję dotąd jeszcze nie zdystansowaną przez żaden z nastęnych objawów stworzyło udźwiękowienie filmu.

Rewolucja ta miała z jednej strony dobroczynny wpływ: pozwoliła przemówić poruszającym się na ekranie cieniom, z drugiej jednak strony odebrała filmowi jego międzynarodowy charakter, zwęziła jego zasięg.

Na czem polega dźwięk na filmie? Są dwie metody: jedna polega na synchronicznem notowaniu dźwięku na płycie, i potem odgrywaniu go z gramofonu. Druga zaś wykorzystuje właściwości t. zw. fotocelli i zanotowany w formie drgającej fali na brzegu taśmy filmowej tok dźwięków zamienia na żywy dźwięk w sposób do pewnego stopnia analogiczny, jak się to dzieje w telefonie czy radjoodbiorniku. Cały system lamp przekształca falę świetlną na dźwiękową, w zależności od zanotowanej amplitudy.

Oczywiście udźwiękowienie filmu stworzyło cały szereg nowych technicznych zagadnień, związanych z koniecznością notowania „czystego dźwięku" bez żadnych przymieszek ubocznych szmerów. Poważne zagadnienie stanowi też sprawa wzmacniania dźwięku, bez zniekształcenia jego walorów.

Wszystko dziś mamy szczęśliwie za sobą i film dźwiękowy osiągnął już szczyt doskonałości.

Lecz poważnym brakiem filmu jest brak barwy i trójwymiarowości. Na kwestję szarości filmu starano się zaradzić przez wtórne kolorowanie taśmy. Lecz efekt nie był szczególny. Dopiero ostatnio z różnych stron doszli wynalazcy przez budowę odpowiednich filtrów do rozwiązania tego problemu. Również i w tej dziedzinie zaznaczyli sę Polacy, Szczepankowie. Filmem, który ma być najwyższym w tej chwili wyrazem możliwości technicznych, jest „Betty Sharp", grany ostatnio u nas.

Coprawda jeszcze nie mamy wielkiej harmonji i polifonji barwnej, jeszcze kolory zasadnicze zanadto przebijają, ale cel został w zasadzie osiągnięty.

Ostatnią wreszcie rewolucją przygotowywaną oddawna jest film plastyczny, czyli trójwymiarowy, dający złudzenie przestrzeni. W tym celu buduje się specjalne ekrany — coprawda dopiero w New Jorku i Paryżu.

W ten sposób osiągnięto wszystkie elementy złudzenia rzeczywistości: ruch, dźwięk, barwę, trójwymiarowość.

Jak na czterdzieści lat rozwoju techniki filmowej, to bardzo wiele. Gdy wreszcie te wszystkie elementy uda się artystycznie zespolić, będziemy mieli film technicznie doskonały.

NA FALACH CZASU

Z FILMU

Nowo otwarte kino w Domu Katolickim przy ul. Nowogrodzkiej 49 rozpoczęło swą działalność wystawieniem filmu „Chopin piewca wolności”.

Film jest dobry, chwilami nawet świetny, zwłaszcza w szeregu scen charakterystycznych, zaprawionych dyskretnym humorem. Niemniej obok tego szereg scen patetycznych, ze sceną improwizacji pod wpływem wieści o wybuchu powstania, daje okazję do artystycznej delektacji.

Co przedewszystkiem uderza w tym filmie, to atmosfera pewnej melancholji, jakiegoś zmierzchu życia przy pozorach jego budzenia się i porywów młodości bohatera.

Przyczynia się do tego ilustracja muzyczna, oparta o wybór tematów chopinowskich raczej tylko sentymentalnych i patetycznych, przyczynia się do tego i wybór wykonawcy, chłopca z twarzą ponurą, na której ani śladu przebłysku humoru i wesołości, które były przecież właściwością o czem niewielu może wie, autentycznego Chopina. Czytajcie jego listy paryskie, ile tam błysków dyskretnej ironji. Niestety przyprawiono nam w tym filmie Chopina na ponuro, mimo, że nie kazano mu jeszcze umierać. Film bowiem urywa się na wyprawie na Majorkę, a więc w chwili apogeum miłosnego związków twórcy Poloneza z autorką „Indiany”. Nawiasem mówiąc, opinja Chopina w tej książce niewiadomo czem jest umotywowana.

„Königsmark” film o niemal sensacyjno-kryminalnej fabule, a przytem głęboko sentymentalny i zaopatrzony tragicznym epilogiem. Słowem melodramat, ale pierwszej klasy. Rolę czołową księżnej kreuje Eliza Lhandi. Jej twarz o jakichś dziwnych, zlekka zatartych akcentach mongolskich, jest znakomitem zwierciadłem przeżyć bohaterki. A są one bogate w przedziwne powikłania. Małżeństwo ze względów dalekich od serca, natrętny wielbiciel, dyskretny adorator, śmierć męża, tajemnicza, nie przynosząca rozwiązania, grom wybuchu wojny. Granica płonąca wojennym ogniem stawia zaporę między księżną a tym, którego ona kocha. Wreszcie pokój. Wyjazd do Paryża, i tu wieść, Ukochany zginął.

To fabuła. A jej oprawa. Bogate dekoracje. Przepych wystawy. Tłumy statystów na ślubnych uroczystościach. Perspektywa pałacowych podwórców i sal. Słowem film nieprzeciętny, interesujący anegdotą, ułożoną przez mistrza pióra, Piotra Benoit'a, zmontowany przez zręcznego reżysera, zagrany przez doskonały zespół aktorski. Film o którym się mówi, który się podoba, który ludzie chcą zobaczyć. Bo choć nie wnosi żadnych nowych problemów, daje zadowolenie artystyczne, swą dobrą, pełną chwilami dużego polotu, robotą.

Przed Polą Negri w „Mazurze” uchylić tylko trzeba czoła. Dała kreację najwyższej miary artystycznej.

Oczywista, na sukces sztuki składa się niemało pierwszorzędny temat, pełen ciekawych, psychologicznych perspektyw. Akt zemsty na uwodzicielu, spotkanym po latach, w chwili, gdy zarzuca sidła na córkę swej pierwszej ofiary — to jest kanwa melodramatyczna pierwszorzędna.

Lecz dopiero znakomita gra Poli Negri wyhaftowała na tej kanwie wprost porywający rysunek, pełen dramatycznych powikłań.

W filmie tym Pola Negri daje koncert gry. Nie mówiąc już o szerokiej skali wyrazu aktorskiego, Pola Negri zachwyca nas śpiewem i to najwyższej klasy. Czyste brzmienie głosu i technika powyżej wszelkich pochwał, zarówno w arjach jak i piosence.

W miarę rozwoju fatalnego splotu okoliczności, w miarę narastania tragicznej atmosfery — dech nam zapiera w piersiach. Stwarza to niebywała w swej sile ekspresja aktorska Poli Negri. Jednem podniesieniem brwi, jednym błyskiem oczu mówi więcej od najbardziej wyszukanej mimiki.

Pod sugestją gry Poli Negri zapominamy o pewnych, tendencyjnych zagęszczeniach nastroju filmu, przymykamy oczy na pewne konwencjonalne chwyty reżysera; zaczynamy wraz z bohaterką nienawidzieć tego Michajłowa, którego ona wkońcu zabija. W pierwszym odruchu gotowi jesteśmy na morderczynię wypowiedzieć za sędziami wyrok uniewinniający.

Dopiero później przychodzi refleksja. I zadajemy sobie pytanie, czy Michajłow nie był wypadkiem także ofiarą, czy tak całkowicie zasługuje na potępienie. Bo przecież w tem jego zainteresowaniu się najpierw matką, a potem córką, jest także pewien psychologiczny przymus. Popycha go do córki niespełniona miłość do matki. I to jest fatalizm. Ale patrząc na tę tragedję kobiety, zapominamy o słowie obrony dla mężczyzny. Dlaczego? Bo tą kobietą jest Pola Negri. I to jest triumf jej gry.

J. Cz.



Scena z nowego filmu polskiego „Pan Twardowski”

Z PIŚMIENNICTWA

„Przewodnik po beletrystyce". Po nieudanej próbie ks. Marjana Pirożyńskiego (Co czytać?) podobnego zadania podjął się historyk lwowski — Czesław Lechicki. O ile praca pierwsza była dorywczą robótką amatora, tym razem dostaliśmy wielki tom czterystastronnicowy, któremu — mówiąc zupełnie otwarcie — do ideału jeszcze daleko, choć wydawcą jego jest Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Poznaniu. „Książka niniejsza — wedle słów autora — jest przewodnikiem ideowym i uwzględniając walory artystyczne, na plan pierwszy wysuwa w ocenie autorów i w klasyfikacji utworów kryterja ideowo-moralne." Pomimo takiego założenia Lechicki stosuje zbyt giętkie miarki, dla autorów polskich jest raczej o jeden stopień łagodniejszy, i to sprawia, że Przewodnik po beletrystyce nie spełni wzupełności swego zadania. Rodzice i wychowawcy mogą z niego korzystać tylko z dużą ostrożnością — właśnie spowodu zbytniego roztańczenia kryterjów. W jednym zato wypadku autor ma rację: „Dla historyka literatury będzie książka niniejsza materjałem nieobojętnym już choćby przez obfitą bibljografję i szczegóły o fabule setek powieści, czego gdzieindziej nie znajdzie." To istotnie racja, ale to nie ma nic wspólnego z zamierzeniami wydawniczemi Akcji Katolickiej. (ch)

Karjera naukowa Papiniego. Jan Papini — autor Goga, Skończonego człowieka, Żywego Dantego, żeby wymienić tylko ostatnie jego książki, tłumaczone na język polski, dekretem włoskiego ministra wychowania narodowego mianowany został profesorem zwyczajnym języka i literatury włoskiej na uniwersytecie w Bolonji. Naogół jest rzeczą bardzo rzadką uzyskiwanie katedr uniwersyteckich przez literatów, Papini jednak zdziałał dla literatury włoskiej więcej niż mendle profesorów. Tłumaczony na trzydzieści bezmała języków, niósł światu wiadomość o istnieniu wielkiej literatury włoskiej. Trzeba wspomnieć, że w swych dziełach literackich stosował zawsze krytycyzm naukowy, dając tem dowód, że do naukowego charakteru dzieła niekoniecznie potrzebne są setki przypisków wskazujących strony, bo one właśnie już swym wyglądem zewnętrznym raczej przerażają czytelnika-niespecjalistę. (ch)

Nowe powieści Mauriaca. Najnowszą powieścią czołowego powieściopisarza katolickiego Francji — Franciszka Mauriaca jest drukowany w jednym z tygodników paryskich Czarny anioł (L'ange noire). Wydany niedawno w książce Koniec nocy (La fin de la nuit) ukazał się już w przekładzie polskim. (ch)

RENÉ BAZIN: Papież Pius X. Przekład z orygin. franc. przez St. Honesti, str. 224. Kraków, Wydawnictwo Księży Jezuitów, br. zł 1.80, opr. zł 3.30.

Wybitny pisarz katolicki francuski włożył w ten życiorys, obok wielkiego talentu, gorące umiłowanie tej wielkiej postaci, jaka spoczątkiem niniejszego wieku zajaśniała na stolicy Piotrowej. Bez żadnego panegiryzmu, owszem z ujmującą prostotą, kreśli autor dzieje tego żywotu, który od malutkich, najskromniejszych początków wznosi się stopniowo aż na szczyty, jedynie dzięki swym talentom, a przedewszystkiem swej cnocie, która dochodzi wyraźnie do tych wyżyn, jakie Kościół zwykł wieńczyć koroną uroczystej beatyfikacji czy kanonizacji. Przedewszystkiem zaś uwydatnia p. Bazin tę prześliczną ozdobę duszy wielkiego papieża, jaką była ciepła, przeczysta, promienna miłość, udzielająca się wszędzie całemu otoczeniu, miłość, która i dziś pociąga do jego trumny rzesze pobożnych. Książkę tę przeczytają wszyscy z wielką pociechą i zbudowaniem, ale przedewszystkiem kandydaci do stanu duchownego. Rozbudzi ona jeszcze gorętsze i ogólniejsze pragnienie, by Papież częstej Komunji świętej znalazł się wnet na ołtarzach.

MIŁOSZ GEMBARZEWSKI — Jan Tarło, pierwszy powstaniec polski. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1935 r.

Jan Tarło dla swych cnót i zasług był najpopularniejszym Polakiem w połowie XVIII wieku, którego duszy obrazem może być ustęp wyjęty z testamentu:

„Ojczyźnie mojey, nad którą nic kochańszego w życiu żaden poczciwy Człowiek mieć nie powinien, iakom zawsze starał się wiernie y życzliwie służyć, tak z tym Testamentem prawdziwie żyię y umieram, że żadnego Człowieka między temi wszystkiemi doczesnemi szczęśliwościami nie rozumiem być szczęśliwszego, iako tego, który życie całe swoie łożył na Rzeczypospolitey usługi, który iey Wiary y Miłości statecznie dochowując, na to mógł sobie zarobić, aby Imię iego mogło być w długiey y wdzięczney w Oyczyźnie przyszłych potomków pamięci".

Ironją losu postać Jana Tarły została zapomniana i ledwie mimochodem bywa wspominany przez historyków. Tę niesprawiedliwość naprawia p. M. Gembarzewski, który przypomniał już niejednokrotnie postać Tarły w różnych mniejszych artykułach, drukowanych w prasie, teraz zaś poświęcił mu osobne studjum, zwięzłe a bogate w treść, oparte na żmudnych badaniach źródeł drukowanych i rękopiśmiennych.

W świetle pracowitych badań jaśnieje postać Jana Tarły w całym blasku, jako gorącego patrjoty, przerastającego rozumem i cnotą obywatelską współczesnych mu rodaków, wodza zwycięskiego w polskiej wojnie sukcesyjnej 1733—36, wielkiego działacza oświatowego pracującego dla całego narodu, bo kochał wszystkie stany, (fundator Collegium Nobilium w Warszawie, założyciel szkoły rzemieślniczej w Opolu Lub.); mądrego polityka, który nie kierował się prywatą, lecz trafnie i przenikliwie pojętym interesem ojczyzny, który w jej służbie nietylko się nie dorobił i nie poszedł na tak częsty wówczas lep przekupstwa państw obcych, lecz przeciwnie — miljonowe sumy na ołtarzu dobra wspólnego łożył; Tarło już wtedy, 200 lat temu wysunął hasło „za naszą wolność i waszą" w wojnie, która, jak autor stwierdza, była pierwszem powstaniem polskiem, jako świadoma walka o niepodległość z przyszłymi zaborcami, tem się różniąca od wszystkich powstań następnych, że granic Polski nie uszczupliła.

Z kart książki staje przed czytelnikiem naprawdę wspaniała postać, podziwu godna i porywająca. Nie dziw też, że autor, rozmiłowany w swym bohaterze, zwycięsko polemizuje z tym lub owym pisarzem, który Jana Tarły zasług nie umiał, czy nie chciał ocenić.

Książka ozdobiona jest kilku fotografjami portretów Jana Tarły z różnych okresów jego życia.

Maj. pil. ST. KARPIŃSKI: Polskie skrzydła w moich lotach długodystansowych. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa. Str. 264. Zł. 4.50.

Na półkach księgarskich ukazała się książka znanego lotnika długodystansowego i literata majora-pilota Stanisława Karpińskiego pod tytułem „Polskie skrzydła w moich lotach długodystansowych". Wydana przez „Książnicę-Atlas" (Lwów — Warszawa), posiada barwną szatę zewnętrzną oraz ciekawy układ treści i jest bogato ilustrowana.

Sama osoba autora, nazywanego u nas „polskim lotnikiem Wschodu", jest rękojmią wartości wewnętrznej książki. Zawiera ona ujęty z punktu widzenia lotnika opis wrażeń i przeżyć autora z trzech odbytych kolejno wielkich lotów długodystansowych. Poprzedzona przedmową autora i wstępem, które umiejętnie wprowadzają czytelnika w dalszą właściwą treść książki, składa się ona następnie z 4-ch oddzielnych części, mianowicie: I. Lot dookoła Polski, II. Lot dookoła Europy, III. Lot do Azji i Afryki i IV. Przygotowania lotu do Australji.

Książka ta jest nowością w literaturze polskiej tak pod względem treści, jak i ujęcia literackiego. Już począwszy od przedmowy i wstępu, czytelnik niepostrzeżenie dla siebie samego zostaje porwany w wir przepięknej rzeczywistości lotniczej, gdzie „górne wzloty" idą w parze ze zmaganiami się życiowemi przeciwnościami, a do tego stopnia przykuwają uwagę, że chciałoby się przeczytać książkę jednym tchem. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika malownicze obszary wszystkich dzielnic nowej Polski, — góry i niziny, rzeki i morza, miasta i stolice kilkunastu państw Europy, — dzikie, skaliste tereny, potężne łańcuchy górskie, rozległe pustynie piaszczyste i silne oraz dalekie morza Azji i Afryki. Wszystko to widziane jest okiem lotnika spod skrzydeł polskiego samolotu, pędzonego czarowną mocą polskiego silnika. Styl książki, bezpretensjonalny i prosty, tchnie szczerością i mocą ukochania polskich skrzydeł.

Książkę swą poświęcił autor młodzieży polskiej, „tęskniącej podświadomie do skrzydeł", jak świadczy o tem dedykacja na wstępie. Jest ono jednak napisana tak ciekawie, że nadaje się nietylko dla młodzieży, lecz również dla każdego, kogo interesuje lotnictwo polskie, oraz kto chce wślad za autorem przelecieć na skrzydłach młodzieńczej fantazji przez świat nieznany i daleki.

Książka majora-pilota *Karpińskiego*, będąca potężną propagandą lotnictwa w naszem społeczeństwie oraz niezbitem świadectwem zwycięstwa polskich skrzydeł, powinna znaleźć się w każdym domu polskim.

O. RAOUL PLUS T. J.: W obliczu małżeństwa. Przekład z orygin. franc. przez M. M., str. 195, Kraków, Wydaw. Księży Jezuitów, br. zł 1, opr. zł 2.20.

Znany autor całego szeregu pobożnych dziełek, poczęści przełożonych już na polski język, traktuje w tej książeczce ważny temat, t. j. pouczenie potrzebne narzeczonym lub wogóle dojrzałej młodzieży o naturze małżeństwa, o prawach i obowiązkach małżonków, o sposobie, w jaki przepędzać należy czas narzeczeństwa. Rzecz praktyczna i bardzo pożyteczna, a traktowana tak dyskretnie, że choć daje wszystkie potrzebne wskazówki, ani razu nie schodzi na drastyczne tory.

HULBERT FOOTNER: Niebezpieczny ładunek. Powieść. Nakład „Roju”, str. 192.

Sensacyjna powieść kryminalna zawsze znajdowała żywy oddźwięk w szerokich warstwach społeczeństwa. Zwłaszcza wśród młodzieży i ludzi, którzy znękani szarzyzną życia codziennego, szukali podniety psychicznej i oderwania się od trosk. Kilka godzin spędzonych nad taką książką odświeża umysł i pobudza fantazję.

„Niebezpieczny ładunek” Footnera w całej rozciągłości spełnia to zadanie, wnosząc zarazem do tego rodzaju literatury nowy pomysł. Zazwyczaj bohaterem takiej powieści jest mężczyzna z nieodstępną fajeczką w zębach. Tutaj bohaterem jest kobieta-detektyw, zaangażowana przez amerykańskiego multimiljardera celem obrony jego życia przed planowanym zamachem.

Tempo akcji, niebezpieczne sytuacje, szczęśliwe pomysły i potoczysta narracja sprawiają, że książkę czyta się jednym tchem.

WANDA MELCER: Czarny ląd Warszawa. Nakład Domu Książki Polskiej, str. 174.

Znana i powszechnie szanowana firma wydawnicza Dom Książki Polskiej, pozostająca pod energicznym i światłym zarządem prezesa p. E. Szelążka, wydała ostatnio nader ciekawą i barwnie napisaną książkę p. Wandy Melcer p. t. „Czarny ląd Warszawa”. Treścią jej są reportaże z życia żydowskiego. Szkoda tylko, że autorka propaguje w niej swe przekonania filosemickie. Niema się czem szczycić. A zresztą p. Melcer przeczy sama sobie. Jeśli w przytoczonej przez siebie modlitwie żydowskiej, odmawianej na święto Pesach tkwi zdanie: *„ześlij gniew na obce narody”*, to trzeba być doprawdy dzieckiem, aby współpracować z żydami i umożliwiać im dostęp do „wszystkich nauk, wszystkich prac i wszystkich urzędów” i w tem dążeniu „zespalać się” — jak powiada autorka.

POLA GOJAWICZYŃSKA: Rozmowy z milczeniem. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 169.

Są to refleksje artystyczne, ujęte w formę drobnych feljetonów. Autorka uczy nas patrzeć na szczegóły szarego życia codziennego przez pryzmat poezji. Jak zwykle bywa w takiej książce są rzeczy słabsze i mocniejsze.

Naogół rzecz napisana z talentem.

M. LESZCZYŃSKA-MITTELSTAEDT: Frateco. Powieść. Nakład „Roju”, 2 tomy.

W języku esperanckim oznacza to braterstwo. Jest to imię chłopca, którego niezwykłe przygody uczyniły bezdomnym. Znajduje on się na dnie nędzy i tam kształtuje się jego dusza szukająca prawdy. Można nie godzić się z poglądami autorki na temat chrystjanizmu i pogaństwa, lecz ulega się bezsprzecznie niewysłowionemu czarowi języka i przepięknemi opisami przyrody, zawartemi w powieści. Treść jej i akcja utrzymana jest w tempie i przykuwa uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej strony.

X. NIKODEM CIESZYŃSKI: „W cieniu palm i pinjorów”. Nakładem Seminarjum Zagranicznego. Skład główny: Seminarjum Zagraniczne, Potulice k. Nakła. P. K. O. Poznań 202 454. Stron 342, ilustracyj 32. Cena 3,60 zł.

Książkę swoją, zawierającą wrażenia z podróży do Włoch i Ameryki Południowej, zaopatrzył autor pod tytułem: wspomnienia i studja. Jest w niej jedno i drugie. Lecz przedewszystkiem są to doskonale napisane wspomnienia. A że przytem czytelnik otrzymuje szereg wiadomości z historji, historji sztuki, geografji, geopolityki, przyrody, stosunków etnicznych i społecznych, zgrabnie wplecionych w interesującą całość, to już ogromna zasługa autora, który potrafił owe studja uczynić tak lekkostrawne, nic nie ujmując ważkości poruszonym przez siebie zagadnieniom.

Dzięki barwności — opisów — czytelnik z prawdziwą przyjemnością bierze niejako udział w podróży morskiej i w tej cudownej wędrówce po Włoszech. Rzym, Neapol — stają przed oczyma w całej swej krasie i wspaniałości zabytków. Z wnikliwością prawdziwego artysty odmalowuje autor oblicze Ameryki i przeżycia z wielkiego święta amerykańskiego, wszechświatowego kongresu eucharystycznego, pełnego blasków i dogłębnych, niezapomnianych wzruszeń.

X. Nikodem Cieszyński, od szeregu lat parający się piórem, celuje w kunsztownej formie literackiej. Jako niepospolity erudyta, znając prawie wszystkie języki Europy, dzięki swej władzy i znajomości „spraw tego świata”, ma ogromną skalę porównań. Jako zapalony podróżnik zwiedził już kawał świata, a że patrzy bystro i inteligentnie — nic dziwnego, że jest prawdziwym „tou kosmou polites”.

Toteż po odłożeniu jego książki, czytelnik ma pełną satysfakcję, jak po rozmowie z niezwykle interesującym człowiekiem: niepomiernie rozszerzył zasób swych wiadomości, nie znużywszy się nawet na chwilę. „W cieniu palm i pinjorów”, książka, oparta o najlepsze wzory literatury globtroterskiej, ważko zaznacza się w polskiej literaturze podróżniczej.

Poznań. *J. M.*

W Wydawnictwie Księży Jezuitów, Kraków, Kopernika 26 ukazały się następujące dziełka:

1. *KS. PROF. DR. JÓZEF KACZMARCZYK. Charakter Chrystusa.* Str. 180 in 8°. Cena egz. br. zł 1.80, opr. zł 3.00.

Rzecz oparta na głębokiem studjum Ewangelji i gruntownej znajomości odnośnej literatury tak katolickiej, jak protestanckiej. Całe mnóstwo spostrzeżeń bądź całkiem oryginalnych, bądź doskonale zebranych z najwybitniejszych pisarzy. Zwłaszcza rozdział o Mesjańskiej i boskiej samowiedzy Chrystusa niezmiernie przekonywujący. Kaznodziejom, konferencjonistom, katechetom bardzo pożyteczne. Niemałą korzyść z tej książki odniosą i inteligentni czytelnicy świeccy, szukający pogłębienia lub oświecenia wiary.

2. *EMIL FIEDLER. Dobry Bóg.* Str. 144. Cena egz. br. zł 1.20.

Śliczne, ciepłe, wnikliwe, a na wielkiej znajomości duszy współczesnej oparte rozważania o dobroci Bożej. Jest to książka, która wprost zdobywa umysły i serca. Na obecne czasy, tak pełne goryczy i pesymizmu, rzecz niezmiernie odpowiednia. Trzebaby ją w tysiącach egzemplarzy rozrzucić po całym świecie.

3. *ADOLF KLISZEWICZ. Ku czemu zmierza dzisiejszy świat?* Str. 216 in 8°. Cena egz. br. zł 3.00.

Jeden z najwybitniejszych myślicieli polskich doby obecnej — polski Berdjajew, tylko szczerze katolicki — daje w tym szeregu rozpraw diagnozę współczesnych prądów duchowych i stawia horoskopy na przyszłość. Myślącemu czytelnikowi nasuną te uwagi bardzo interesujące pytania i poglądy.

4. *KS. PROF. DR. TIHÁMER TOTH. Chrystus i młodzieniec.* Str. 434. Cena egz. br. zł 2.70, opr. zł 4.40.

Znany, wybitnie nowoczesny kaznodzieja, apologeta i kierownik młodzieży daje w tej książce, pojętej jako listy do młodych, niezmiernie praktyczne, a pełne chrześcijańskiego ducha rady i pouczenia. O młodego chłopca, któryby tę książkę uważnie przeczytał i w życie wpoił, możnaby być spokojnym, że wyrośnie na dzielnego, pożytecznego społeczeństwu człowieka i wzorowego chrześcijanina.

5. *ZOFJA UŁASZYNÓWNA. O salutaris!* Str. 250. Cena egz. br. zł 2.

Znana poetka daje nam w tym tomiku zbiór religijnych utworów i fragmentów. Bardzo głębokie uczucie katolickie, a przeważnie wysoce artystyczna forma. Wiele poezyj nadaje się do deklamacji na religijnych akademjach i wieczorkach.

6. *O. HARDY SCHIGEN T. J. Na usługach Stwórcy.* Str. 136. Cena egz. br. zł 0.90, opr. 1.80.

Jest to nowe wydanie nieocenionej książeczki dla narzeczonych i nowożeńców. Nikt jej nie przeczyta bez wielkiego pożytku.

7. *Dziesięciodniowe rekolekcje dla osób zakonnych.* Str. 332. Cena egz. br. zł 2.40, opr. zł 4.00.

Rzecz ta, choć wyszła spod pióra świątobliwej zakonnicy Polki, znana była dotąd tylko w angielskiem i francuskiem języku. Obecne, pierwsze polskie wydanie powinno tem bardziej przypaść do smaku tak zakonnikom, jak pobożnym osobom świeckim, że Autorka prócz swoich własnych głębokich myśli, zamieszcza dłuższe cytaty z najwybitniejszych mistrzów duchowego życia.

8. *JÓN SVENSSON T. J. Czółnem przez morze.* Str. 184. Cena br. zł 1.50, opr. 2.50.

Noowe wydanie ulubionego chłopcom do lat 14 opowiadania, które zarazem ogromnie interesuje i uszlachetnia.

KS. JAN LENZ T. J. Wycieczka w przestworza. Opowiadania o świecie słońc i gwiazd, oparte na najnowszych badaniach naukowych. Polskie wydanie opracował ks. J. Mokrzycki T. J., str. 316. 15 ilustracyj w tekscie na kred. papierze i jedna mapka nieba. Kraków, Wydawnictwo Księży Jezuitów, br. zł 3.20, opr. zł 4.80.

Popularne, a jednak naukowo dokładne wyjaśnienie dziwów gwiazdzistego wszechświata. Rzecz niezmiernie zajmująca, ustawicznie kierująca umysł i serce ku Bogu. Książka ta będzie bardzo miłą lekturą dla starszej młodzieży, ale przyda się i dorosłym, którzy mogą z niej zaczerpnąć dużo wiadomości, przeważnie nieznanych lub niedokładnie znanych. Niniejsza praca wypełnia lukę w naszej literaturze bardzo dotkliwą i może stanąć godnie obok podobnych dziełek w literaturach obcych.

ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Miesięcznik „Rodzina Polska” przesłany wybitnym działaczom „Odrodzenia społeczeństwa przez Rodzinę” otrzymał miłe słowa pochwały za formę zewnętrzną i (z tytułów wyczytanych) ciekawą treść literacką. Prezes stałej Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego, senator baron Delvause de Fenffe dziękuje nam za numer pięknie ilustrowany i dobrze reda-

gowany. Toż samo uznanie otrzymaliśmy w liście twórcy ruchu Odrodzenia Społeczeństwa przez Rodzinę i założyciela Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego, ekscelencji p. Pawła de Vüyst'a (Belgja).

* * *

We wrześniu 1935 roku V-ta komisja Ligi Narodów obradowała ponownie nad t. zw. „Statutem kobiet", a przedewszystkiem nad sprawą „przynależności państwowej kobety zamężnej". Statut kobiet" jest to ramowy projekt równouprawnienia kobiet na całym świecie. Sprawa przynależności państwowej kobiety zamężnej dotyczy uporządkowania praw międzynarodowych z tej dziedziny. W tych obradach jak i w innych zaznaczyły się dwa poglądy odrębne: katolicki i akatolicki. W niektórych wypadkach grupy innych wyznań przychylały się do stanowiska katolickiego. Poglądy wyżej wspomniane scharakteryzować można w paru słowach: Katolicki pogląd uznaje rodzinę jako podstawę życia i ładu społecznego, a więc i prawodawstwa ludzkiego, — w przeciwieństwie do niego akatolicki pogląd bierze za punkt wyjścia jednostkę ludzką i jej prawo do życia i społeczności ludzkiej. Stąd rozbieżność w rozwiązywaniu zagadnień prawno-obyczajowych. Równouprawnienie kobiet, w pojęciu katolickiem, uwarunkowane być musi stanowiskiem kobiety matki w rodzinie i patryarchatem koniecznym dla sprawności organizacyjnej instytucji rodziny. Uznając potrzebę pełnego *rozwoju kobiety, uznaje ten rozwój jako analogiczny, a nie identyczny z rozwojem mężczyzny.* Pogląd akatolicki, biorący za punkt wyjścia jednostkę ludzką, dąży do identycznego równouprawnienia kobiety z mężczyzną, jedynie ograniczając jednostkę (nieraz krańcowo, np. w komunizmie) przez prawa zbiorowo-państwowe. Sprawa przynależności państwowej kobiety zamężnej rozważana jest również z punktu widzenia tych przeciwległych sobie poglądów: potrzeb jednostki lub rodziny. Katolicy dążą do jednolitej przynależności państwowej w rodzinie, — akatolicy żądają zupełnej dowolności wyboru obywatelstwa dla jednostki ludzkiej.

Sprawy powyżej przytoczone rozstrzygnięte nie zostały.

W Biuletynie Międzynarodowego Instytutu Antymarksistowskiego (Genewa 14, Promenade St. Antoine), który ukazał się w lutym b. r. znajdujemy wielce ciekawe sprawozdanie pana Gustawa Bonvoisin (znanego działacza ruchu odrodzena społeczeństwa przez rodzinę) z działalności wielkej organizacji francuskiej *„Subwencyj rodzinnych"* (Allocation famliades). Tytuł pana Bonvoisin brzmi po polsku: dyrektor naczelny centralnego komitetu subwencyj rodzinnych we Francji, tytuł artykułu: „Francuska instytucja subwencyj rodzinnych".

W dzisiejszem sprawozdaniu określę tylko główne zasady oraz historję powstania tej ciekawej i dziś potężnej organizacji, w której zespoliły się wysiłki społeczeństwa i państwa.

Przed wojną były już słabe wysiłki robione w tym kierunku przez poszczególne fabryki, ale pierwszy poważny wysiłek został zrobiony w Grenobli z inicjatywy inż. Emila Romanet. Dalej akcja rozwinęła się błyskawiczne po całej Francji. Nieoczekiwanie potężny rezultat został osiągnięty dzięki t. zw. *systemowi kompensat*, który polega na rozłożeniu na pokrewne gałęzie przemysłu proporcjonalnie do ich obrotów ciężaru udzielanych subsydjów, bez względu na stan rodzinny ich własnych robotników i fukcjonarjuszy. Jasnem było, że fabrykant o ileby sam jeden ponosił ciężar subsydjów rodzinnych to miałby tendencję ograniczania liczby zatrudnionych ojców rodzny. Pierwsza tego rodzaju „Kasa kompensacyjna" została założona w 1918 roku w Lorient przez p. Marcesche, prezesa izby handlowej tego portu. W ciągu następnych piętnastu lat powstało 255 kas kompensacyjnych we wszystkich okręgach kraju i gałęziach produkcji. Dnia 1 października 1933 roku kasy te reprezentowały 30.000 przedsiębiorstw wielkiego i średniego przemysłu i odpowiadały 1.850.000 pracowników, którym rozdzielało się w formie subsydjów 380.000.000 franków rocznie.

W Polsce.

Rada Naczelna Ziemianek, złożona z przedstawicielek wszystkich organizacyj Ziemianek ze wszystkich województw Rzeczypospolitej, zebrała się w lutym b. r. w Warszawie na swój zjazd doroczny. Między innemi poruszono sprawy dotyczące rodziny. Niżej podpisana referowała, jako przewodniczącą Komisji Zagranicznej R. N. Z. i przewodnicząca Wydziału Wychowawczego Stow. Ziemianek, następujące kwestje: Święta matek (Fêtes des Mamans) uroczyście obchodzone w Kołach Gospodyń Walońskich (Walonia, część Belgji, mówiąca po francusku). Świętom tym nadaje się tam charakter rodzinny, nie należy bowiem pojęcia matki wyłączać i odosabniać od pojęcia rodziny. Takie jest stanowisko Kościoła. Ojciec święty ustanowił uroczyste święto na niedzielę w oktawie po Trzech Królach ku czci Świętej Rodziny i rodziny chrześcijańskiej wogóle. W dniu tym winny być urządzane obchody ku uczczeniu obojga rodziców i rodziny wogóle, które łącznie z wypowiedzianemi w tym dniu kazaniami (300.000 kapłanów odprawia w tym dniu te same modły na całym świecie, w Polsce jest 6.944 parafij), staną się potężną siłą odradzającą rodzinę. — W dyskusji Rada Naczelna Ziemianek wyjaśniła zgodnie w tym duchu sprawę. Omawiano też udział Zemianek w I-szym Międzynarodowym Kongresie Wychowania Rodzinnego w Brukseli. Interpelowano p. Z. Jankowską w sprawie projektu działu Polskiego Kodeksu Cywilnego o stosunkach rodziców i dzieci prof. Gołąba, gdyż opinja publiczna jest tym projektem zaniepokojona narówni z projektem ustawy małżeńskiej prof. Lutostańskiego.

Omawiano środki zaradcze dla zapobieżenia wprowadzeniu w życie praw tak bardzo niezgodnych z istotą rodziny sakramentalnie pojętej.

* * *

Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce bierze w dalszym ciągu czynny udział na różnych placówkach w pracach nad rozwojem współdziałania „domu ze szkołą".

Sprawę projektu prof. Gołąba referował prezes Zjednoczenia na zebraniu jednego z warszawskich kół Wiedzy Religijnej. Po konferencji nastąpiła bardzo ożywiona dyskusja, stwierdzająca zgodnie niebezpieczeństwo grożące rodzinie jako instytucji społecznej.

Teatr Letni. „Raz się tylko żyje!" S. Kiedrzyńskiego. Scena zbiorowa. *Fot. J. Malarski*



Członkowie prezydjum Zjednoczenia Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce zostali zaproszeni do grona organizatorów wielkiego katolickiego zjazdu, który ma się odbyć w dniach 20, 21 i 22 czerwca b. r. Zjednoczenie powodowane troską o przyszłość młodzieży organizuje w tym roku, jak to czyniło w latach poprzednich, szereg konferencyj na temat: o wyborze zawodu.

Na dzień 16 marca zwołano zebranie Warszawskich Kół Rodzicielskich oraz organizacyj społecznych, — tematem obrad jest projekt Komisji do Spraw Rodziny co do dalszego rozwoju prac Zjednoczenia, — chodzi bowiem o rozwinięcie większej aktywności tej organizacji w kierunku obrony materjalnego bytu rodziny.

* * *

Centrala Katolickiego Związku Kobiet Akcji Katolickiej, której siedzibą jest Poznań, powołała do życia specjalną Sekcję Wychowawczą. Pierwsze zebranie organizacyjne odbyło się 28 lutego b. r. „Sekcja" ma za zadanie organizację akcji ogólnokrajowej w myśl encyklik Ojca świętego: o małżeństwie chrześcijańskiem i chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży. Do współpracy w zakresie spraw rodziny zaproszono „ekspertkę na Polskę" w tej dziedzinie. Jest to ekspertka III-ciej Komisji: „Rodzina", Międzynarodowej Unji Katolickich Lig Kobiecych. Tym sposobem udział nasz na terenie międzynarodowym wzmocnił się o jedną więcej bazę działalności krajowej. Przewodniczącej Katolickiego Związku Kobiet, pani Zofji Rzepeckiej, — należy się wielkie uznanie za pomoc organizacyjną polskiej kobiecej akcji w sprawach rodziny.

* * *

Opinja społeczna jest znowu bardzo silnie zaniepokojona pogłoskami o *wznoweiniu sprawy projektu prawa o małżeństwie*, gdyż nie jest oficjalnie informowana co do wyników prac kondyfikacyjnych i *zmian*, jakie miały być wprowadzone do projektu. „Projekt" sam jest w Polsce bardzo niepopularny. Czy Komisja Prawna Sejmu, do której może wkrótce „projekt" być nadesłany jest przygotowana do zajęcia rzeczowego stanowiska? Mamy nadzieję, że społeczeństwo otrzyma w najbliższej przyszłości zadawalniające, oficjalne wiadomości w tej tak ważnej sprawie.

Zofja Jankowska.

Z TEATRU

„Wieczór trzech króli" Szekspira w teatrze Polskim był niewątpliwie triumfem inscenizacji Borowskiego, który połączył w harmonijną całość dwa zasadnicze elementy teatru szekspirowskiego: piękno i dobro oraz ohydę i zło. W „Wieczorze" coprawda ohyda zastąpiona jest przez pospolitość, a zło przez ordynarność. Wogóle bowiem nastrój tu nie taki znów poważny. Niema tu zbyt ważnych problemów i zasadniczych kontrastów życia. Panuje tu przeciętność, daleka jednak od szarości wcale skomplikowana i różnorodna. Element piękna i szlachetności reprezentuje tu Viola, w interpretacji Smosarskiej wyposażona w cały właściwy kobiecie wdzięk i uległość, przemieszany z przybranemi dla maski męskością i stanowczością. Postać Violi wzniosła na scenę czar poezji i piękna. W opozycji z niemi jest świat pijacki, reprezentowany przez trzy groteskowe nieomal postacie, z Tobjaszem Czkawką na czele.

Reżyser przez uwypuklenie groteskowości scen pijackich stworzył sobie możliwość połączenia ich ze scenami miłosnemi. Poruszające się figury opojów miały w sobie coś marjonetkowego, to pozwala je stolerować jako tło do miłosnej serenady.



Nina Świerczewska i B. Samborski

W ten sposób całość widowiska uzyskała ton zlekka bajkowy. Był to świat zdarzeń i ludzi rzeczywistych a jednak i troszkę nierzeczywistych. Pajacowaty Pulcinello wyrażający beztroską pospolitość marginesu życia odegrał rolę odźwiernego do tego świata, w którym dźwięczy zarówno pijacka piosenka jak i miłosna kanzona dlatego, że ludzie mają trochę czasu na myśl swobodną, nieinteresowną, na zabawę i uciechę. I ta uroda i uciecha życia — stanowi tutaj właśnie to powietrze właściwe, w którem oddychają postacie „Wieczoru trzech króli".

„Raz się tylko żyje", to typowy majstersztyk Kiedrzyńskiego, przemawiający do widza żywą aktualnością zagadnień i pierwszorzędnym rysunkiem figur.

Historja jest dość prosta. Rywalizacja między dwoma pokoleniami. Pokolenie starych reprezentuje architekt zagrany przez Samborskiego. Jest to typ rycerski i sentymentalny. W sprawach miłości ma poglądy trochę niedzisiejsze. Kocha żonę tak dalece, że gotów jest ją ustąpić innemu, byle tylko dał jej szczęście. I w tym celu wygraża pięścią pod nosem następcy swemu w prawach.

Jest to niejaki Kłusek w interpretacji Wesołowskiego. Prawdziwy kłusownik, który wszystko po drodze bez skrupułów ściąga. Żonę swemu rywalowi, jego robotę. Wszystko po niższych cenach. Ceny są tak niskie, że gdy na horyzoncie zjawia się jakaś ciepła wdówka, kręci się koło niej jak piskorz.

Rolę żony, ofiary tej rozgrywki gra Nina Świerczewska. Dała subtelny rysunek powikłań serca z rozsądkiem. Dla męża ma troskę, dla Kłuska sentyment. Nina Świerczewska nad wyraz trafnemi środkami aktorskiemi zarysowała to balansowanie serca kobiecego. Szczytu zaś dramatycznej ekspresji sięga w scenie policzkowania tego, którego przecież kocha, albo przynajmniej tak się jej zdawało. To wibrowanie kobiecości znalazło w Świrczewskiej wyraz artystycznie najdoskonalszy.

„Mieszczanin szlachcicem" Moljera, wystawiony w t. Narodowym, to jedna z lepszych komedjofars twórcy „Skąpca". Pan Jourdain ma niewątpliwą „nieśmiertelność sceniczną.

Jego ambicje szlacheckie, które „rzuciły mu się na głowę", to kanwa do bajecznego widowiska tresowania słonia, by w składzie porcelany kulturalnego konwenansu nie zabardzo tłukł skorupy. Pan Jourdain musi zdobyć ogładę towarzyską. Więc potrzebny mu jest taniec i muzyka.

Zaangażował sobie dwu nauczycieli. Nauczyciel tańca jest prawdziwym idealistą w porównaniu z nauczycielem muzyki. Ten ostatni ne mówi inaczej o panu Jourdain, jak nasza „słodka renta". Ta renta olśniewa go, pragnąłby uszczknąć z niej choć kilka listków.

Pan Jourdain jest prostakiem i prostakiem przedstawił go Zelwerowicz. Figura była aż nadto dosadna i rubaszna, tchnęła wprost stuprocentowym naturalizmem. Stąd odskakiwały od niej rażąco groteskowe postacie nauczycieli, a akt ostatni prezentacji „uszlachetnionego mieszczanina" na tureckim dworze zamienił się w cyrkowy balet.



W. Grabowski i J. Kurnakowicz

W ten sposób zapewne został podkreślony cały fałsz sytuacji Jourdaina, cała komedja omyłek wynikła z jego aspiracji, którym nie odpowiedają możliwości. Ale podkreślenie jest zbyt drażniące w swej jaskrawości. Troszkę prostoty nie zawadzi. Tej prostoty, którą tak trafnie wyczuwa sam Jourdain, i którą umie mu tak szczerze doradzać jego nauczyciel filozofji, gdy pochwala najprostszy frazes, jako najlepszy.

„Tessa", wystawiona w t. Nowym, jest sztuką dość typową dla angielskiej mentalności i dramaturgji. Wprowadza nas bowiem poza konfliktem romantycznym, w atmosferę życia rodzinnego. Odsłania tajniki i zagadnienia wychowania dzieci. Pod tym względem nawiązuje do takich sztuk, jak Miss Ba, jak szereg sztuk ostatnio pokazanych B. Shawa czy Manghama, jak Szesnastolatka.

To zainteresowanie Anglików problemami rodzinnem i wychowawczemi, przejawione w sztuce dramatycznej, niewątpliwie jest jednym ze sprawdzianych wysokiej ich kultury. Naród, który na serjo myśli o swej przyszłości i swej roli dziejowej, nie może przemilczać i lekceważyć spraw młodego pokolenia i trosce o nie stara się dać wyraz przy każdej okazji, desek teatru nie wyłączając.

Oczywiście nie można twierdzić, że atmosfera rodzinna w sztuce jest wzorowa. Dzieciaki w domu muzyka Sangera, wobec jego nieobecności, są rozzuchwalone, wychowują się bez żadnej dyscypliny. Chociaż nie! — jest kamerton, który zestraja gromadkę tych urwisów — to muzyka! Dzieciaki są w zaczarowanym kręgu jej wpływu. Pod każdym innym względem na stopie wojenej („cyrk Sangera", tak nazywają tę bandę urwisów, w tej dziedzinie jest zgodny. Tu panuje nad niemi prawo absolutnego słuchu. I widz mimowoli zastanawia się, jakby to było dobrze, gdyby ten absolutny słuch rozciągał się i na dziedzinę duchową, moralną. Egzotycznym kwiatem wyhodowanym w tej sztucznej atmosferze, jest Tessa. — Sztukę wypełniają dzieje jej miłości do młodego muzyka Dodda. Jest on żonaty. Niestety, żona nie



Scena zbiorowa z I. Smosarką na czele

harmonizuje z nim. Ma bardzo drobnomieszczański pogląd na sztukę. Inaczej Tessa. Lecz nie chce ona łamać uświęconego związku. Tak przynajmniej jest początkowo. Później decyduje coś silniejszego w jej naturze — muzyka, która ją łączy z Doddem

Sztuka jest ciekawym wykładnikiem tezy, że do trwałości małżeństwa trzeba wspólnoty upodobań.

„Sąsiadka" w teatrze Kameralnym dała nam możność przypomnienia sobie twórczości zapomnianego, a wcale utalentowanego dramatopisarza. Jaroszyński, autor Sąsiadki w szeregu sztuk historycznych, jak „Jerychonka", umiał stawiać ludzkie figury, czego kapitalnym przykładem jest Eustachy, pulsujący pełnią krwią w kreacji mistrza Adwentowicza. „Sąsiadka" ma przytem tę zaletę, że tworzy przyjazną atmosferę dla tak dziś ze sceny atakowanej rodziny.

„Widowisko Nr. 1" w Wielkiej Rewji przynosi zaszczyt swej kierowniczce, dyrektorce i reżyserce, Hance Ordonównie, wysokim poziomem artystycznym, atmosferą czystego, szlachetnego humoru.

ZE SZTUKI

Dawno nie było takiego ożywienia w „Zachęcie", takiego tłumnego napływu zwiedzających, jak ostatnio na wystawie braci Styków. Czemu mają do zawdzięczenia ten sukces nasi artyści? Czy zręcznej reklamie, czy pewnym określonym zaletom pędzla?

Skąd się wziął ich sukces, który tak zatruwa prawidłowe trawienie niektórych krytyków sztuki, przykładających miarę „wyższych" przeznaczeń do dzieła sztuki.

„Leje się wiele śliny, żółci i równie czarnego atramentu. Wszystko daremnie. Publiczności na wystawie nie ubywa. Sukces niebywały, wbrew rzadkiej jednomyślności znawców, zatrudnionych daremnem pisaniem".

Pisał tak zupełnie trafnie prof. Wł. Witwicki w broszurce: „O pewnej psychologji sukcesu".

Ale jakież są te „wyższe przeznaczenia"? Jaka jest rola sztuki w życiu ludzkiem?

Zbyt rzadko, zdaje się, zadajemy sobie to pytanie, by odpowiedź na nie mogła być prawidłowa.

Nie ulega wątpliwości, że sztuka plastyczna ma rolę użytkową, to znaczy ma służyć człowiekowi, jak wszystko co jest na świecie, do zaspokojenia pewnego głodu, — głodu estetycznego. Muszą więc być zawarte w dziele sztuki takie pierwiastki, któreby kwalifikowały je do konsumcji estetycznej. Oczywista konsumcja ta może być różnorodna: masowa i dla znawców, smakoszów, wykwintnisiów, delektujących się jaskółczemi językami.

Lecz jaskółcze języki to rzecz rzadka, i można powiedzieć, sztucznie wyszukana. Natomiast chleb pytlowy, sztuka mięsa i piernik toruński nadziewany migdałami,



J. Kurnakowicz, J. Węgrzyn, J. Kondrat, W. Grabowski i M. Borowy

to rzecz dostępna szerokiemu gustowi podniebienia, to rzecz upodobana w masowym zbycie. I kto umie upiec chleb bez zakalca z chrupiącą, zarumienioną skórką, sztukę mięsa w cebulowym, zawiesistym sosie i piernik wokół rozsiewający cudną kminkową woń, ten jest panem upodobań miljonów.

A te proste wymagania zaspokoić w sposób prosty i celowy nie jest znów taką łatwą rzeczą. Do tego trzeba jednak wirtuozerji. Takimi wirtuozami w zakresie dostarczania szerokiej publiczności wzruszeń estetycznych, zrozumiałych i zdrowostrawnych, są Stykowie.

Adam Styka reprezentuje utarte pojęcie o kobiecie z portretu, w której powinno być coś z anioła, lilji i tygrysicy, coś bajkowego, nierealnego, a przecież zmysłowo uchwytnego. Pewna gładkość „sfinksa na kanapce" w jedwabnej demi-sukni, z psychologją demivierge.

Tade Styka zaspakaja znów powszechnie wyobrażenia egzotycznych krajów i lądów, tęsknotę do „sfinksa pustyni", kamienno-purpurowych, skąpanych w słonecznem złocie piasków, dziwacznych zwierząt garbatych wielbłądów, łagodnie uśmiechniętej karykatury czworonoga, sklejonego według recepty pół-konia, pół-słonia.

Jeśli dodamy do tego nieomylność każdego dotknięcia pędzlem, nadającego obrazom artystów zmysłową wprost dotykalność, jeśli podkreślimy żywiołowość w ujmowaniu tematów, kolorystyczną soczystość, buchającą płomieniem barw, które oślepiają, ale pociągają oczy, jak ogień ćmę, to będziemy mieli zespół tych czynników plastyczno-wrażeniowych, które zdolne są oczarować każdego z miljona.

Od tych gustów miljona ludzkiego odwrócił się Stanisław Czajkowski, ongiś całkiem poprostu zachwycający poezją polskiego, nieco melancholijnego krajobrazu, z płaskością jego pól, z przytulnością jego dworków, z modlitewnym nastrojem jego kapliczek i kościołków. Dziś odmienił manierę i rzucił się na skrajny nieomal paryzjanizm, operowanie czystym kolorem, szukanie „nagiej formy", strojenie grymasów i dysonansów. Z pożaru, który rok temu strawił całą kolekcję prac artysty, obudził się jak feniks z popiołów z inną duszą w piersiach.

Szczęsny Rutkowski, szlachetny fantasta urbanista, szukający możności uzgodnienia nowoczesnego osadnictwa z krajobrazem polskim, sięgnął do tematów ze „Starej baśni", do życia prasłowiańszczyzny i wyczarował pędzlem liczne sceny domowe, obrzędowe, rycerskie, ukazujące w pełnem świetle, artystycznej rokonstrukcji atmosferę i dekorację życia naszych praojców.

Wizja poetycka owych bajecznych nieomal czasów, wsparta jest gruntowną wiedzą archeologiczną.

Gdy stajemy przed temi dziełami, to poza swoją może mniej przekonywującą kolorystyką uderzają taką autentycznością szczegółów i nastroju, że muszą podbić wyobraźnię każdego. I w tem tkwi także ich walor, walor sztuki dla mas.

W IPS'sie ma wysoce interesującą wystawę Blok plastyków. Daje ona przegląd wszystkich znanych już i powoli zdobywających sobie prawo obywatelstwa nowych możliwości plastycznych. W niejednym wypadku dają one znakomite wyniki.

Obok tego trzeba podkreślić wystawę szat kościelnych, wyrabianych ze lnu. Uderzają one widza szlachetną prostotą ornamentu, linji i stosowaniem barwy, zrozumiałem zupełnie w takim materjale. Jest w tem wszystkiem porywający serce prymityw. Te ornaty nasuwają myśl o misyjnych placówkach Kościoła.

J. Cz.



Ołtarz marjacki *Wyczółkowski*

Z MUZYKI

Prof. Kazimierz Sikorski laureatem nagrody muzycznej. — Z wędrówek chóru „Ambrosianum".

Przyznanie państwowej nagrody muzycznej — to corocznie jedno z najdonioślejszych wydarzeń w naszem życiu artystycznem *). W bieżącym roku 1936 odznaczenie to przypadło profesorowi Konserwatorjum Warszawskiego, Kazimierzowi Sikorskiemu.

Jury zaznacza w swej jednomyślnej uchwale, że w całokształcie działalności laureata szczególnie uwzględniało jego pracę pedagogiczną. Najcichsza to bodaj, najmniej świetna z dziedzin życia muzycznego, pozbawiona blasku wielkich emocyj (jakich tyle przynosi ze sobą np. zawód estradowego wirtuoza) — dziedzina rzadko doceniana należycie, a tak przecież istotna i ważna! Uchwała jury, oparta właśnie na motywie zasług pedagogicznych prof. Sikorskiego, jest godna szczerego poklasku: bo też zasługi te wykraczają daleko poza miarę przeciętną i we współczesnej polskiej pedagogice muzycznej zajmują pierwszorzędne stanowisko.

Kazimierz Sikorski rozpoczął pracę na tem polu niezmiernie wcześnie. Po ukończeniu studjów (pod kierunkiem Felicjana Szopskiego w Wyższej Szkole Muzycznej im. Chopina w Warszawie) pracował jako profesor kolejno w Łodzi i w Poznaniu (Konserwatorjum); od roku zaś 1927 wykłada kompozycję, kontrapunkt, harmonję i instrumentoznawstwo w Konserwatorjum Warszawskiem. Młody wiekiem (urodzony w 1895 roku) wykształcił już po dzień dzisiejszy cały szereg wybitnych uczniów. rozwijających obecnie samodzielną pracę kompozytorską. Wymienię tu nazwiska: Grażyny Bacewiczówny, R. Maciejewskiego, R. Palestra, a spośród najmłodszych — rokującego piękne nadzieje J. Ekiera, narazie jeszcze studenta Konserwatorjum.

Wychowanków swych uczy prof. Sikorski ujmować twórcze porywy w karby ścisłej, logicznej myśli. Nie pragnie on bynajmniej krępować tą „ścisłością" samodzielnego lo-

*) Od roku 1929 otrzymali nagrodę kolejno: Karol Szymanowski, Ludomir Różycki, Witold Maliszewski, Jan Maklakiewicz, Eugenjusz Morawski, ś. p. Piotr Maszyński i wreszcie Feliks Nowowiejski.



Prof. Kazimierz Sikorski

tu inwencji ucznia, tylko ustrzec ją przed niebezpiecznem rozwichrzeniem; pozostawia pełną swobodę — nie pozwala jedynie na warcholstwo. Młody talent, zanim odnajdzie własną drogę i zacznie stawiać na niej pierwsze kroki, musi zdobyć mocne podstawy poważnej wiedzy muzycznej, musi opanować technikę kompozycji, musi nauczyć się czuwać nad sobą z pełnią zdrowego, wyostrzonego samokrytycyzmu. Oto zasady, jakie wyznaje i wpaja uczniom prof. Sikorski. Takie ujęcie roli pedagoga i roli okresu studjów w artystycznym rozwoju ucznia — stanowi dla młodzieży muzycznej znakomitą odskocznię do późniejszej samodzielnej pracy, daje pełnowartościową szkołę kompozytorską.

Szkoła ta opiera się na trwałym gruncie solidnej wiedzy teoretycznej, wzbogaconej doświadczeniem, przefiltrowanej przez subtelną kulturę rasowego muzyka. Prof. Sikorski, pedagog arcy-sumienny, wciąż pracuje nad rozszerzeniem i pogłębieniem tej wiedzy, nad wprowadzeniem do niej najnowszych zdobyczy. Utrzymuje stały i ścisły kontakt ze świeżemi prądami, nurtującemi współczesny ruch muzyczny. Uczniowie zdają sobie z tego jasno sprawę; czują, że profesor nie traktuje swego przedmiotu z suchą, zakrzepłą w zawodowej rutynie obojętnością, — ale podchodzi do niego z żywem, istotnem zamiłowaniem. Stąd płynie niezachwiana ufność młodzieży do swego przewodnika i do jego metod. A że przytem prof. Sikorski doskonale rozumie tę młodzież i umie z nią postępować, zjednywa więc sobie łatwo jej gorącą życzliwość i wdzięczność; współpraca rozwija się w atmosferze harmonji i najszczerszej sympatji.

Wybitne walory posiada prof. Sikorski jako wykładowca. Podaje swój przedmiot w formie prostej, zwartej i oszczędnej w słowach, o żywej i przejrzystej. Wykłady jego, niezmiernie ścisłe, systematyczne, wolne jednak od pedanckiej oschłości równie jak od mętnej a dźwięcznej frazeologji — wykłady te noszą na sobie piętno talentu pedagogicznego niepowszedniej miary.

Przy całym swym objektywizmie, uznającym dodatnie strony wszelkich prądów w muzyce, — sam prof. Sikorski skłania się wyraźnie ku umiarkowanemu modernizmowi, wolnemu od krzyczących ekstrawagancyj. Ten kierunek jest mu już jakby z natury najbliższy; jemu hołduje i jako nauczyciel — i jako kompozytor. Dorobek twórczy Sikorskiego, ilościowo niezbyt obfity (pedagogika nie pozwala mu poświęcać zbyt wiele czasu kompozycji), — uderza powagą i czystością intencji twórczej, rzetelną, progłębioną pracą, swobodnem i pełnem opanowaniem całej skali współczesnych środków wyrazu i szlachetnym umiarem w ich stosowaniu. Napisał Kazimierz Sikorski dwie symfonje, szereg utworów kameralnych (sekstet i kwartety smyczkowe), oraz pieśni solowe i chóralne. Te ostatnie (opracowania piosenek ludowych) odznaczają się zręczną, kunsztowną fakturą i ujmującym powabem dźwiękowym.

Na głębokie uznanie i podziw zasługuje wszechstronność prof. Sikorskiego. Podejmuje on pracę w przerozmaitych dziedzinach muzycznych życia — zawsze z jednakim nakładem żarliwej energji, z jednakiem, skupionem poczuciem poważnej odpowiedzialności. I dlatego jest wszechstronny, a bynajmniej nie rozproszony. Rozległy zasób wiedzy, wysoka kultura muzyczna, nieubłaganie wrogi stosunek do wszelkiego dyletantyzmu i płycizny, umysłowość bystra, wnikliwa i lotna, umiejąca sięgnąć do rdzenia problemu i oświetlić go najdokładniej — pozwalają Sikorskiemu wyzyskać w całej pełni wielostronne rozgałęzienia swego talentu i tworzyć na każdem z różnorodnych pól swej pracy rzeczy o głębszej wartości.

Nie poprzestaje więc Sikorski na działalności pedagoga i kompozytora: pisze świetne podręczniki („Instrumentoznawstwo" i przygotowywana obecnie „Harmonja"); uczestniczy w redagowaniu lwowskiego „Kwartalnika Muzycznego" i „Muzyki Polskiej" (Warszawa); jako badacz, wydaje szereg doskonałych opracowań zabytków dawnej muzyki polskiej; pozatem bierze czynny i wydatny udział, jako członek zarządów, z działalności Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, Stowarzyszenia Kompozytorów i Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej.

Indywidualność wybitna i nawskroś dodatnia, o tak rozległym kręgu zainteresowań i tak szerokich możliwościach ich realizacji, zasługiwała ze wszechmiar na zaszczytne wyróżnienie. Toteż uchwała jury, przyznająca państwową nagrodę zasłużonemu i dzielnemu muzykowi, oddanemu swej pracy z tak czynną, niepożytą energją — odbiła się żywem i radosnem echem zarówno między młodzieżą Konserwatorjum, jak w szerszych sferach muzycznych, budząc wszędzie szczere uznanie i najżywszą sympatję dla laureata.

* * *

W warszawskim kościele św. Anny pracuje od lat kilku sympatyczny chór „Ambrosianum", złożony ze studentów, na terenie akademickim cieszący się dużą popularnością, biorący nader czynny udział w życiu katolickich organizacyj młodzieży. Z początku praca chóru ograniczała się do terenu kościoła. Lecz stopniowo, zaszczytne wyróżnienie na konkursie chórów kościelnych w Toruniu i występ w Siedlcach, obok paru większych własnych koncertów w Warszawie, — dały chórowi rozmach i pewność siebie. Obecnie, gdy „Ambrosianum" spoważniało już i okrzepło artystycznie, przedsięwzięło pierwsze swoje „tournée" w okresie kolendowym (17—19/I r. b.). Objazd obejmował Białystok, Łomżę i Ostrołękę, zaś dn. 9/II r. b. odbył się jeszcze jeden koncert — w Siedlcach. Pisząca te słowa miała sposobność być świadkiem tych imprez.

W zespole, dobrze już i harmonijnie ześpiewanym, wyróżniają się pięknym materjałem głosowym soprany i basy. Dynamika przedstawia się narazie nieco jednostajnie (zbytnie zamiłowanie do forte i mezzoforte, przy rzadko stosowanem piano); zbyt ostro zaznaczają się czasem akcenty rytmiczne, ale są to wszystko braki do wyrównania, przy tak intensywnej, jak obecnie, pracy dyrygenta. Bolesław M. Pluciński prowadzi chór z ogromnym zasobem gorącego temperamentu, wypowiadającego się mocnym, energicznym gestem. Dokonywa on ponadto szeregu transkrypcyj chóralnych z popularnych utworów, które, niezmiernie wdzięczne wykonawczo, stanowią ozdobę repertuaru „Ambrosianum".

W koncertach na prowincji wzięli udział soliści — młodzież muzyczna. Tu zwraca na siebie uwagę przedewszystkiem Helena Warpechowska, niedawna absolwentka konserwatorjum, śpiewaczka nader ujmująca, o lekkim, niezwykle dźwięcznym sopranie i bezpośrednim, dziewczęcym wdzięku interpretacji; jej właściwy świat odtwórczy — to słodki, pogodny liryzm. Dlatego też anielska prostota kolend, a zwłaszcza „Kołysanki" Regera znajduje w jej wykonaniu wyraz szczególnie trafny. Prócz niej wyróżnia się Tadeusz Cieślak, bas o bogatym i dobrze wyszkolonym głosie, i Eugenjusz Skowroński, skrzypek, niezawodny i pewny jako członek zespołu, muzyk o zdrowym rytmie i prostem, spokojnem frazowaniu. Bardzo ładnie i barwnie wypadły w ich interpretacji wdzięczne kolendy — obrazki Maklakiewicza. Ze specjalnem, zdaje się, umiłowaniem i pasją młodzieńczą śpiewa chór suitę kolendową Niewiadomskiego. Czy nie byłoby możliwe usłyszeć ją w przyszłym sezonie z orkiestrą?

Miłemu „Ambrosianum" należy życzyć jaknajpiękniejszego rozwoju, co przy sprężystej pracy takiego kierownika, jak B. Pluciński, i zrozumieniu przez zespół jego artystycznych intencyj, da się osiągnąć w niedługim czasie. Śledzić będziemy każdy krok chóru na tej drodze z żywem i serdecznem zainteresowaniem, gdyż jest on placówką wśród młodej inteligencji bardzo potrzebną i ma na terenie akademickim ważną do spełnienia rolę. *J. Szamotulska.*



Helena Warpechowska

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Prawdy, nie zaś wymowy w pismach świętych szukać należy.

Wszelkie Pismo święte powinno być czytane w takim duchu, w jakim pisane było.

Raczej pożytku, jak dowcipu szukać w niem mamy.

Równie chętnie, nabożne i proste, jak górne i głębokie księgi czytać powinniśmy.

Niech cię w nich nie obchodzi powaga pisarza, nie badaj czy wiele, czy mało sztuki pisania posiadał, lecz miłość czystej prawdy niech cię do czytania przynęca.

Nie pytaj, ktoby to powiadał, lecz zważaj na to, co powiedziano.

Tomasz à Kempis

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Dni Wielkiej Nocy, Zmartwychwstanie Pana, wiosna, słońce niech rozpędzą chmury trosk naszych. Niech wzbudzą i utrwalą w każdym domu polskim i w każdej polskiej rodzinie — wiarę w pogodne jutro, abyśmy mogli owocnie dla kraju pracować i „służyć Panu w radości”.

Tego życzy wszystkim Czytelnikom.

REDAKCJA

„CO ROBIĆ?”

Przetrwaliśmy wiek z dokładem niewoli, przetrwaliśmy wojnę, odepchnęliśmy hordy bolszewików, a nie mamy dość sił, aby dać radę tak zwanemu kryzysowi.

Przecież wszystkie te epoki zbiorowego życia narodu — były cięższe, były okrutniejsze. Prawda, że zostawiły to pokolenie, które życiem ofiarnym zdobywało wolność, a utrzymane ich życie zostało często kalectwem znaczone, że krocie ludzi, bez dachu nad głową, prawda, że z kresów, tych bohaterskich kresów, ich wygnano, że gniazda ich zburzono, że tylko na wielce moralnych fundamentach umocowane skrzydła ich nie połamały się, kiedy uchodzili w nieznane jutro. Ale, prawda także, że rosną już dzieci naszych bohaterskich żołnierzy, że rośnie „młody las”, i że nie poginęli ci, których niedola gnała z własnych domostw, że żyją, pracują — słowem istnieją.

Pracy tej brak. Odłogiem leży tysiące źródeł zarobku. Bez nakładu, ruszyć z miejsca nie można. Prawda, przemysł nie rozwija się jak należy. Setki i setki możliwości pchnięcia zbiorowej pracy daremnie się melduje. Niedobory materjalne, niweczą najracjonalniejsze projekty i plany.

Czego myślą sięgniesz czeka na twórczość naszą. Czego dotkniesz, czeka na ulepszenie. Ale to wszystko nie usprawiedliwia jakiejś beznadziejności albo, broń Boże, rozpaczy.

Wszyscy winniśmy się krzepić, wszyscy umacniać w wierze, wszyscy, a zwłaszcza my kobiety, my matki, my panie domów rodzinnych, ani na chwilę nie poddawać się żadnemu zwątpieniu.

Każda kobieta polska, właśnie w ciężkich chwilach, mężnie stawiała czoło przeciwnościom. Więc i w obecnym położeniu ekonomicznem kraju, niech nie da zmilknąć swym przyrodzonym cechom wytrwania i ofiarnej pracy w podtrzymywaniu ducha — wątpiących.

Jeśli dziś, nie zdobędziemy się na najwyższą ofiarność, na zrzeczenie się egoizmów, jeśli nie uznamy za powinność dzielenie się z głodnym, choćby cząstką własnej porcji, zaspokajając głód bliźniego, jeśli nie podejmiemy trudu opieki, choćby nad jedną istotą, będącą bez pracy, to nie będziemy mogły znaleźć spokoju sumienia ani wobec szerzącej się zbrodniczości, ani, co gorsza, we wzrastającej liczbie samobójstw, bo ono nas zawsze, choć bardzo cicho, ale dość głośno, abyśmy to w sobie samych usłyszały — zapyta: ile zrobiłaś dla pocieszenia, ile oddałaś dla uśmierzenia — rozpaczy?

Papież, Pius XI, mówił kiedyś: „Odnówcie dusze i społeczeństwa jednocześnie. Naprawiajcie świat, naprawiajcie człowieka przez cnoty chrześcijańskie”.

Doskonalmy się duchowo, rośnijmy moralnie, brońmy wielkiego znaczenia *człowieczeństwa*, które jeszcze po wielkiej zbrodni, jaką była wojna, nie odzyskało wagi pełnej, a niezawodnie, zwyciężając kryzys moralny, tego największego wroga ludzkości, dojdziemy i do zwycięstwa nad fizyczną nędzą, która, oczywiście, jest straszną jeśli każe ojcu — matce patrzeć na głód dzieci, ale zatraci swe okrucieństwo — odsunięte ręką dobrej kobiety, która w szlachetnym serca swego zadowoleniu będzie umiała zawsze znaleźć środki, dla okrycia nagich, nakarmienia głodnych i skrzepienia a umocnienia — wątpiących. Pilnie czuwajmy nad wyrabianiem się charakterów młodzieży. Strzeżmy hartu i woli.

Kraj mamy pełen skarbów, więc, miast łamać ręce, miejmy wiarę w opiekę i pomoc Bożą, wiarę we własne siły, wiarę w naród, który zawsze dawał dowody trwania i niezłomną ufność w pokonanie tych trudności, jakie usunie prawdziwie chrześcijańska cnota — miłości bliźniego.

L. Kotarbińska.

DEGUSTACJA PRZETWORÓW W INSTYTUCIE GOSP. DOMOWEGO

W ubiegłym miesiącu b. r. odbył się w Instytucie Gospodarstwa Domowego pokaz oceniania przetworów owocowych, przeprowadzony przez p. inż. Meringa według zmodyfikowanych schematów amerykańskich.

Liczne grono zebranych pań ustaliło ocenę dwóch prób marmelad: miękkiej i twardej. Oceny te przeprowadzone zostały na podstawie przygotowanych przez Instytut kart.

Inż. Mering wyjaśnił na wstępie zasadniczy cel i zadania oceny metodycznej. Wskazał na chaos jaki panuje na rynku w dziedzinie przetwórstwa. Odczuwać się daje zupełny brak normalizacji produktów, a to głównie na skutek małych wymagań konsumentów. Społeczeństwo nie rozumie doniosłości jednolitej akcji w tym kierunku. Sprecyzowanie wymagań konsumenta, oparte na umiejętnej ocenie produktu, mogłoby w znacznej mierze pobudzić producentów do podniesienia jakości produkcji, zwiększyć zainteresowanie temi sprawami związków przetwórczych oraz czynników rządowych i tem samem skutecznie wpłynąć na wprowadzenie obowiązkowej standaryzacji przynajmniej najważniejszych przetworów. Najlepszym dowodem jest tu już wprowadzona standaryzacja ogórków puszkowych, na skutek wymagań rynku zagranicznego.

Wzory do opracowania własnych standartów przetworów owocowych i warzywnych czerpać możemy z Anglji, Stanów Zjednoczonych, Niemiec czy Rosji, gdyż wymienione kraje przodują w tej dziedzinie.

Wskazanem jest też przeprowadzanie metodycznych ocen na pokazach i wystawach, zamiast dotychczas stosowanej pobieżnie próby smakowej.

Zorganizowany przez Instytut Gospodarstwa Domowego pokaz miał właśnie na celu zapoznanie zebranych z metodyką ocen i szukaniu przytem własnych dróg w tym kierunku.

Przy omówieniu metodyki oceny p. Mering zaznaczył, że należy wyróżniać w produkcji dwie grupy cech: subjektywne i objektywne. Cechy subjektywne są to te, które określamy bez przyrządów przy pomocy posiadanych przez człowieka narządów wzroku, smaku, powonienia. Cechy objektywne wymagają zastosowania pewnych przyrządów i są określone bądź to na drodze fizycznej (mikroskop, areometrja itp.), bądź to zapomocą analizy chemicznej.

Ocena cech subjektywnych jest najbardziej rozpowszechniona w standartach zagranicznych, bo jest dostępna i łatwiejsza dla ogółu.

W danym pokazie chodziło o przeprowadzenie oceny cech subjektywnych: typowych i najbardziej charakterystycznych dla danego produktu. Metodyka oceny subjektywnej oparta jest na liczbowej ocenie w stosunku do 100 cech najważniejszych. Dominującą cechą zwykle jest *smak*, który jest oceniany jako maximum od 25 do 50 stopni w stosunku do 100. Przy marmeladach najwyższa ocena smaku stanowi 35 stopni, *konsystencji* (stopnia twardości) 40 stopni, a resztę stopni, t. j. 25 pozostaje na inne chechy, jak: kolor, opakowanie, domieszki.

Zastosowanie przy ocenie metody statystycznej daje bardziej prawdziwe wyniki do porównań.

Zastanawiając się nad poszczególnemi cechami p. Mering podkreślił, że *opakowanie* przetworu powinno być właściwe, t. j. odpowiadające danemu produktowi, — dalej estetyczne lecz proste, ozdobione tylko ładnie wykonaną jedno-dwubarwną etykietą, przytem nie za drogie.

Niektóre przetwory wymagają opakowań hermetycznych, gdy znów inne jak np. marmelady, dżemy, chronione są dostatecznie od zepsucia przez zawartą w nich dużą ilość cukru, a czasem przez specjalnie dodawane utrwalacze chemiczne. Datowanie produkcji na opakowaniu byłoby bardzo wskazanem, ale, niestety, na razie jest jeszcze trudne do przeprowadzenia.

Przy ocenianu *koloru* musi być brane pod uwagę pewne ściemnienie produktu w czasie gotowania. Przy kolorze złym produkt kwalifikuje się poniżej normy. Przy kwalifikowaniu domieszek zwracamy uwagę, żeby zasadniczy surowiec stanowił przynajmniej 50%. Ocena konsystencji powinna mieć przedewszystkiem na względzie przeznaczenie produktu, a więc np. jeśli chodzi o marmeladę miękką — możliwość rozsmarowywania jej na chlebie dosyć grubą warstwą.

Przy ocenianiu smaku musimy brać również pod uwagę zapach danego produktu. Powonienie nasze odkryje natychmiast zapach pleśni, fermentu, a także pewne nadmierne domieszki utrwalaczy chemicznych, jak to kwasu mrówczanego, dwutlenku siarki itp. Domieszki te, nieszkodliwe w małej ilości i dopuszczane przez prawo dają przy nadmiernej ilości pewien posmak niepożądany i łatwo wyczuwalny. O ile powyżej wymienione ujemne właściwości występują w silnej formie, dany produkt musi być bezapelacyjnie wyeliminowany w oceny.

Oceniana marmelada jabłeczna twarda określona została jako zrobiona z mocno skoncetrowanych jabłek i nadająca się do celów wycieczkowych, dla narciarzy itp. Obecnie stosowane jest przygotowanie twardej marmelady z dodatkiem agar-agaru lub pektyny, które nadają jej twardość i zachowują jasny kolor owocu. W smaku tego rodzaju marmelady wyczuwa się jednak więcej smaku cukru niż smaku samego owocu, podobnie jak w marmeladach cukierniczego wyrobu. Dawniej znana marmelada ma kolor ciemniejszy, jest miększa, ale ma smak bardziej naturalny produktu domowego wyrobu.

Na zasadzie wyjaśnień p. inż. Meringa i przeprowadzonej dyskusji zebrane przystąpiły do stawiania na rozdanych kartach stopni oceny. Wynikiem pokazu i dyskusji było skrystalizowane dążenie do wprowadzenia metodyki ocen na tory zmierzające do normalizacji przetwórstwa w Polsce.

POMÓWMY O DZIECIACH

„Bedzieś jeście jadla, Halinko". — „Nie będzie, „Dzidziuś, nie będzie papać". Halinka nic nie odpowiada, patrzy tylko dużemi oczkami na matkę i dziwi się w głębi duszyczki, że taka duża osoba mówi gorzej od niej. Halinka wie przecież, że się mówi „jeść" nie „papać", że taka duża czteroletnia dziewczynka nie jest wcale dzidziusiem, dzidziuś to mały braciszek w poduszce. Ale jak to wytłumaczyć mamie. Porusza się więc niecierpliwie na krzesełku i oznajmia poważnym głosikiem. „Nie mogem jeść już więcej. I ja już duzia panna, nie dzidziuś. Mam wielkie nogi i oko" i z powagą wysuwa nóżkę. Mama jednak nie rozumie, zaczyna się śmiać: „Boże, jakaż ta Halinka zabawna". Halinka patrzy zadąsana na matkę. To, że ona jeszcze nie umie powiedzieć tak jak dorosła, to jeszcze nie powód, żeby mama się z niej śmiała. Ale ona chce i nauczy się. Skutek jest taki, że zaczyna nawet zdrobniałe słowa w potocznej mowie „zgrubiać", mówi nożysko, widelczysko i t. p. Jest to częsty błąd matek. Rozkoszują się szczebiotem dziecięcym, i zamiast uczyć dziecka mówić dobrze i wyraźnie mowy ojczystej, uczą je zdrabniania i przekręcania wyrazów — dziecięcego szczebiotu, rozkosznego dla ucha, jeśli wpływ to samorzutny, ale śmiesznego i przykrego u dziecka większego. Są dzieci pieszczotliwe z natury, które chętnie przyjmują te różne słówka i potem używają ich długi czas, stając się pośmiewiskiem swych towarzyszy, a czasem niesprawiedliwie otrzymując napomnienia od matki, która już zapomniała, że sama jest temu winna. Dziecko 5-letnie, powinno już mówić czysto i dobrze, rozszerzając z roku na rok zakres swego słownictwa. Uczy się też często dzieci obcego języka bardzo wcześnie, wiadomo bowiem, że dzieci łatwo się uczą, ale nie dba się zupełnie o język własny i nie uczy się ich kochać mowy ojczystej. I coraz częściej, niestety, spotyka się dzieci mówiące źle po polsku, używające zwrotów obcych duchowi języka. Trzeba dzieci nietylko uczyć mówić, by umiały porozumieć się z otoczeniem, trzeba ich uczyć miłować ten język, tak bogaty i piękny, jak mało języków świata. Pięknie to wyraził Władysław Bełza w swym wierszu: „Polska mowa": „Ukochaj dziatwo! Słowo rodzinne, skarb twój jedyny, wspaniały... A jakież czary ta mowa mieści raz gromem huczy i błyska; to znów się ozwie jękiem boleści, że aż łzy z oczu wyciska. Bo w niej się chowa moc tajemnicza, ta czarodziejska moc wróżki — co raz ją zmienia w pieśń Mickiewicza, to znowu w hasło Kościuszki..." Niestety, nasza młodzież nie rozumie czaru języka ojczystego. Niezrozumiali jej są nasi wie-

szcze, „nudni” wielci pisarze. Nie rozumie po polsku! A przecież Niemcy i Francuzi czytać muszą swych pisarzy dawnych ze słownikiem i komentarzami, a dla nas Rey i Kochanowskj zrozumiali są bez żadnych objaśnień, słowo ich żyje do dziś dnia! Czyż ma zamilknąć dla młodego pokolenia? Rzecz to rodziców, by uczyli dzieci nietylko posługiwać się mową dla sewj wygody, ale oceniać piękno i ducha języka. Trzeba dawać od najmniejszych lat książki dobrze pisane po polsku, jakież straszne są te popularne wydawnictwa i tłumaczenia, jakiemi się pasie młodzież nasza. A przedewszystkiem trzeba już maleństwa uczyć, że krowa to nie „buba”, a skaleczenie „kuku” i nie tępić w dzieciach chęci prawidłowego mówienia. *Ewa.*

DOM DLA SAMOTNYCH KOBIET IM. WANDY MALCZEWSKIEJ

Przed 3½ laty zostało powołane do życia Stowarzyszenie pod nazwą „I Koło im. Wandy Malczewskiej”.

Jednem z zadań „Koła” działającego na terenie stolicy, jest zorganizowanie domu im. Wandy Malczewskiej dla samotnych, inteligentnych, pracujących kobiet.

Statut Stowarzyszenia został zalegalizowany.

Sprawa ta zasługuje na baczną uwagę i winna zyskać poparcie społeczeństwa. Statut Stowarzyszenia określa szczegółowo cele, zakres i środki jego działalności. Zadaniem więc „Koła” jest ułatwienie życia pracującej kobiecie przez stworzenie jej kulturalnego środowiska, które zastąpiłoby dom rodzinny. „Koło” ma za zadanie zorganizować biuro pośrednictwa pracy, warsztaty pracy, budować własny dom oraz prowadzić akcję kulturalną. Organizacja „Domu” dla samotnych kobiet przewidziana programem Stowarzyszenia im. Wandy Malczewskiej, wypełniłaby lukę w zakresie naszej pomocy społecznej. Odpowiednie wykorzystanie i zużytkowanie zdolności, pracy i energji życiowej całych zastępów marnujących się kobiet, które znaleźć mogą w „Domu” tym zabezpieczenie, dać może społeczeństwu wiele korzyści. Ileż teraz można spotkć wśród samotnych kobiet bólu i cierpienia, bezowocnych zmagań i wysiłków z beznadziejnemi warunkami życia.

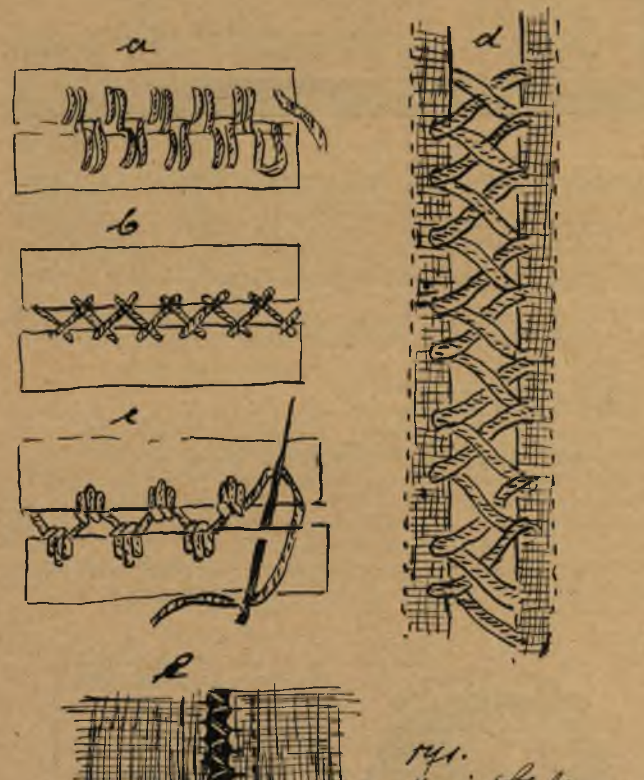
Tę bolączkę społeczną może zaspokoić praca powołanej do tego celu organizacji na wzór zagranicy. Te właśnie zamierzenia stoją przed Stowarzyszeniem i akcją „Domu” im. Wandy Malczewskiej. Poruszenie zagadnienia „Domu” dla samotnych kobiet winno znaleźć oddźwięk w pierwszym rzędzie wśród zainteresowanych kobiet, a pozatem wśród całego społeczeństwa.

Niech to zagadnienie pociągnie odpowiednie jednostki zdolne i chętne do pracy społecznej, a także te, które pomogłyby środkami materjalnemi do rozwoju tej ideowej instytucji, której największym plusem byłby własny „Dom” — ostoja i oparcie w starości, gdy przemęczenie odbierze zdolność do życia i pracy.

Młode osoby ze sfer ziemiańskich mogą mieć solidną opiekę w internacie „Domu” im. Wandy Malczewskiej.

Sekretarjat przyjmuje zgłoszenia w dni powszednie (prócz środy) od godz. 17-tej do do 18½. Marszałkowska nr. 72 m. 8, tel. 8-70-45 od godz. 14½ do 18½.

DUŻY OBRUS Z WĄSKIEGO PŁÓTNA



Nakrycie stołu przyczynia się niezmiernie do uświetnienia przyjęcia, toteż obrus i serwety dają pole do rozwinięcia pomysłów zdobniczych. Do zwykłych popołudniowych przyjęć zastosowano od niedawna kwadratowe, lub prostokątne serwety, na których stawiamy talerz, a obok nożyk i łyżeczkę.

Jeżeli jednak dajemy obiad lub wieczerzę na więcej osób, nakrywamy stół dużym obrusem i wówczas mamy kłopot.

Szerokość dużego obrusa wynosi średnio 150—180 ctm., a płótna nasze, krajowe, mają zaledwie 75 do 80 ctm. szerokości.

Przezorna gospodyni może jednak przygotować duży obrus z wąskiego płótna, łącząc je w deseń mereżką.

Podajemy naszym Czytelniczkom kilka sposobów łączenia taką mereżką.

Płótno wymierzone starannie zaopatrujemy w wąziutki obrąbek przytrzymywany pojedyńczą mereżką na wysnutych dwu nitkach.

Bardzo dobrze wygląda obrus łączony w ten sposób, że na środku stołu umieszczamy w całej szerokości płótno z obrąbkami, a po obu bokach doszywamy pasy z połowy szerokości tegoż płótna.

W ten sposób mamy trzy pasy złączone w obrusie dwoma rzędami mereżki.

Drugi sposób, to łączenie płótna na krzyż przez środek, jak to widzimy na rysunku c.

Mereżka d. może być robiona białym kordonkiem, lub w dwu kolorach, np. białym o szarym, a nawet w żywych barwach.

Tworzy ona rodzaj cerowania, gdyż robi ją się w ten sposób, że najpierw łączy się płótno, wbijając igłę z kordonkiem w odległości dwu centymetrów, szyjąc tak przez całą długość płótna.

Po ukończeniu pierwszego szeregu mereżki, wprowadzamy drugi kolor wbijając igłę w połowie poprzednich ściegów i przeplatamy nić przez pierwsze łączenia. Po wypraniu i starannem wyprasowaniu wygląda to, jak robota koszyczkowa i bardzo zdobi cały obrus.

Jeżeli mamy węższy stół, to możemy dosztukować płótno tylko brzegiem, lecz wówczas dodajemy pasy węższe wokoło, łącząc je na rogach w ten sposób, jak to uwidoczniono na rysunku e.

Na ogół mereżka jest naszą przyjaciółką, zdobi naszą bieliznę i pomaga spajać luźne części w piękne formy.

Jakakolwiek i gdziekolwiek na bieliźnie umieszczona mereżka dodaje wdzięku i lekkości. *Marja Stefkowa.*

UBRANIA DZIECINNE



Dajemy dzisiaj naszym czytelniczkom kilka modeli dziecinnych ubrań.

Obie sukienki dla małych dzieci są tak łatwe w kroju, że każda z pań sama je uszyje. Suknia dla małej dziewczynki wykonana z jedwabnego płótna, na lato można użyć białego lub kolorowego batystu. Szlaczek i motyw kwiatowy osobno podane w naturalnej wielkości. Ścieg kwiatów i brzegi wykonane zwyczajnym dzierganiem, tylko o różnej długości ściegów; listki haftowane płaskim ukośnym atłaskiem.



Sukienkę, której tylko fason podany, uszyją panie z cienkiej gładkiej wełny lub kolorowego płócienka. Motyw kwiatka naturalnej wielkości podamy osobno; każden listek składa się z grubej pętli, zakończonej ściegiem, w środku węzełki odmiennego koloru. Haft ten wykonać trzeba Nr. 5, całość pętli w motywach.

Dla panienek w wieku od 11—14 lat bardzo twarzowe są okrycia z gładkiego sukna w beżowych odcieniach, lub granatowych, albo zielonych. Bronzowych kolorów nie należy wybierać, gdyż kolor ten zbyt poważny dla dziewczynek. Berecik w tym samym kolorze, tylko innym odcieniu, dopełnia całości.

Dla chłopczyka daliśmy garnitur z przerabianej krajowej wełny. Całość dosyć luźna, niekrępująca ruchów. Pod żakietem bluzka biała, z wykładanym kołnierzem i wiązanym, kolorowym krawatem.

El. Kotwicz-Onichimowska.





PISMA NADESŁANE DO „DZIAŁU KOBIECEGO"

„Kalendarz Królowej Apostołów" na rok 1936.

„Pracownik Miejski", organ Zrzeszeń Zw. Zawodowych.

„Posiew", pismo tygodniowe ilustrowane, Krak. Przedmieście 71.

„Królowa Apostołów", organ Stow. Mis. Księży Pallotynów.

„Naokoło Świata", miesięcznik. Redak. Zgoda 12.

„Zjednoczenie", organ katol. kobiet, miesięcznik.

„Świat", tygodnik ilustrowany.

„Dziecko i Matka", dwutygodnik. Ś-to Krzyska 17. Zgoda 12.

„Wychodźca", dwutygodnik. Zagadnienia emigracyjne.

„Przegląd Katolicki", Krakowskie Przedmieście 71.

„Powściągliwość i Praca", *miesięcznik*. Wydawca Tow. Św. Michała Archanioła. Adres: Miejsce Piastowe. Małopolska.

„Mały Apostoł", najtańszy ilustrowany miesięcznik dla dzieci, rocznie 1 zł 20 gr, Krak. Przedmieście 71.

„Front Zachodni", pismo poświęcone sprawom wzajemnego stosunku Polski i Niemiec, Aleje Jerozolimskie 20.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, choćby dlatego, żeby zaraz po przeczytaniu tej notatki zużytkować ją. A mianowicie: trzeba wiedzieć, że pamiątki po naszych wielkich pisarzach mieszczą się w tej części naszego, już dziś wspaniałego Muzeum Narodowego, które jest jeszcze na Podwalu nr. 15. Nieustający w pracy nasz dyrektor Br. Gembarzewski, niezawodnie w wielkim gmachu zbiorów muzealnych przy Alei Trzeciego Maja niebawem znajdzie godne miejsce dla tych, którzy są chlubą narodu, a po których zostałe pomiątki rodziny powierzyły najpewniejszej opiece dyrektora Gembarzewskiego. Mamy tam pamiątki po Józefie Kraszewskim, Aleksandrze Prusie (Głowackim). Czytamy, na dokumentach nagrody Nobla, imiona Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Stefana Żeromskiego. Na ścianach mamy portrety takich mistrzów jak: Pochwalski, Lentz, Malczewski. Pozatem mnóstwo cennych przedmiotów, związanych z tymi, których już niema pośród nas, ale którzy dziełami swemi są zawsze dla nas żywymi. Warto też oglądać te zbiory, a jeśli ktoś może — to dopełniać je. Muzeum Narodowe to najpewniejsze schronienie dla naszych cennych pamiątek z przeszłości. Wobec dzisiejszych małych pokoików w nowych domach niejeden piękny mebel sprzedaje się, biorąc zań grosze, oddając go do zbiorów ogólnych naszego pięknego Muzeum, chronimy go od przejścia w obce ręce, często wywożone przez handlarzy za granice kraju.

Wiedzieć pożytecznie, że Ministerjum Komunikacji wydało rozporządzenie, wprowadzające ulgi przy przejazdach koleją do miejsc odpustowych, a mianowicie: przy grupach, składających się conajmniej z 60 osób przyznana ulga wynosi 50 procent, a przy mniejszych grupach (najmniej 25 osób) — 33 procent.

Zniżka udzielana jest na podstawie zezwoleń poszczególnych dyrekcyj kolejowych. Do Częstochowy, Wilna i Kalwarji Zebrzydowskiej ulgi stosują bezpośrednio kasy kolejowe na podstawie zgłoszenia, poświadczonego przez urząd parafjalny.

Wiedzieć i informować trzeba, że w sierpniu r. b. odbędzie się w Krakowie kongres Międzynarodowej Federacji Kobiet z Wyższem Wykształceniem. — Program zjazdu przewiduje przyjęcia oficjalne, zebrania towarzyskie, wycieczki turystyczne i in. — Uroczyste otwarcie kongresu odbędzie się w dniu 26 sierpnia r. b.

Wiedzieć jest niesłychanie przyjemnie, że we Francji powstała nowa świątynia polska. Wychodźtwo polskie w Seine et Marne, gdzie duszpasterzem polskim jest ks. Juljan Unszlicht, będzie miało nareszcie w Meaux swą własną świątynię i to tę samą, w której swego czasu głosił wspaniałe kazania biskup Bossuet.

Polaków w Meaux i okolicach jest spora liczba. Trzymają się oni dzisiaj mocno swej wiary i polskości i cieszą się uznaniem ze strony społeczeństwa francuskiego.

Oddawna już ks. Unszlicht czynił starania o jakąkolwiek kaplicę dla Polaków, lecz wciąż bez skutku. Aż wreszcie, wyzyskawszy dobry moment, zwrócił się wprost do prefekta departamentu z prośbą o odstąpienie oddawna zamkniętego kościoła o bardzo wielkiej wartości artystycznej i historycznej. Miejscowe władze francuskie, życzliwie usposobione dla ks. Unszlichta i jego działalności, przychyliły się do jego prośby. Sprawą żywo zainteresowała się tamtejsza Polonja, jak również francuskie towarzystwo „Les Amis de la Pologne", które z tej właśnie okazji organizuje w końcu lutego w magistracie w Meaux dwutygodniową wystawę ludowej sztuki polskiej. Że wystawa się uda, nie można wątpić, organizuje ją bowiem osobiście wielka przyjaciółka Polski i prezeska „Les Amis de la Pologne", p. Róża Bailly. Dla tamtejszego duszpasterza polskiego wystawa powyższa będzie środkiem do zdobycia chociaż trochę pieniędzy na zakupienie najniezbędniejszych sprzętów kościelnych i bielizny ołtarzowej.

Wiedzieć trzeba, choć z bólem, że w Niemczech powtarzają się nowe ataki na klasztory. Za „Kurjerem Warszawskim" powtarzamy smutną wiadomość, że w Waldbreitbach pod Bonn 150 policjantów obsadziło klasztor Braci Miłosierdzia i dokonało w nim bardzo szczegółowej rewizji.

Do Kongregacji Misyjnej w Mariahill w Würzburgu policja przybyła, by aresztować prokuratora generalnego tej kongregacji. Ponieważ jednak zakonnik ten obecnie odbywa wizytacje zagranicą, zastosowano do Kongregacji represje w formie zasekwestrowania kasy.

Dokonano również rewizji w klasztorze OO. Franciszkanów w Fuldzie.

Wiedzieć trzeba, aby objaśniać przyjezdnych, że na dworcach kolejowych w Warszawie, każdego niemal wysiadającego z wagonu, oblega mnóstwo niepowołanych osobistości, proponując usługi, polecając różne lokale i żądając za to znacznych wynagrodzeń. Polska organizacja przemysłu hotelowego domaga się racjonalnej organizacji w tym kierunku.

Wiedzieć należy, że Katolicki Związek Polek organizuje na maj wycieczkę zbiorową do Ziemi Świętej. Objaśnienia w Związku. Krakowskie Przedmieście 36.

Wiedzieć trzeba, że zniesienie okrutnego rytualnego uboju i mordowanie z tego powodu zwierząt, jest wolą całego narodu i przeprowadzone być musi w jak najbliższym czasie.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Starannej Matce z Podwala. Właściwie wszystkie dzieci szkolne mogą używać kąpieli, bo szkoły w nowych gmachach posiadają własne natryski, a inne mogą korzystać z miejskiego zakładu kąpielowego. Ale, o dziwo, same matki bronią dzieci przed kąpielą, choć czystość dzieci wiele pozostawia do życzenia. Jest to brak zrozumienia, że czystość to zdrowie, że to często zapobiegawczy środek przed chorobą, że im ciaśniejsze mieszkanie, tem więcej powinniśmy dbać o czystość ciała, aby się uchronić od plagi robactwa i że ma Sz. Pani zupełną rację, pilnując się terminowo używania kąpieli w szkole. Im więcej będzie tak rozumnych i dbałych matek, tem mniej epidemicznych chorób wśród dzieci.

Pannie Zofji K... w Olkuszu. „Czy grzech myśleć o zabawie, kiedy dokoła nędza", pyta Pani. Niema grzechu, odpowiadamy z całą dobrą wiarą i wolą. Młodzież ma prawo do uśmiechu. Martwić się, to nic nie pomoże. Pomoże zaradzić biedzie, podzielić się z bliźnim ile się tylko da. Pracować bez wytchnienia, ale jeśli jest sposobność zabawić się godziwie, należne każdemu. Przecież przy tej zabawie, ktoś zarobi, ktoś o trosce zapomni bodaj na chwilę. Ktoś — kogoś spotka, rozerwie się, a nieraz i omówi jakąś pilną sprawę. Nie stroić się, nie myśleć o wielkich wydatkach na przyjęcia. Dać tyle, na ile kogoś stać, ale nie unikać rozrywki, nie zakwaszać siebie i drugich ciągłem narzekaniem. Bieda. Ani słowa. Więc, głodnego nakarmić, choćby połową własnej porcji. Nagiego przyodziać, bo zawsze coś się dla biedniejszego znajdzie, ale zabawić się, żyć z ludźmi, dodać sobie i drugim ochoty — to właśnie obowiązek młodzieży, której, mimo wszystko, uśmiech daje pogodę i uśmiech niejednej zgnębionej starości, bodaj na chwilę.

Pani Wal. Z. z Brzezin. Książkę, o której pisaliśmy „200 obiadów" p. Kiewnarskiej, w świetnem wydaniu firmy Wegnera w Poznaniu, znajdzie Pani w każdej księgarni, a choć dość droga, warto ją mieć w domu, bo niezmiernie praktycznie obmyślona.

P. W. R. z Mińska. Niestety, w Domu Akademickim, fundacji im. Prezydenta Narutowicza przy ul. Grójeckiej, miejsc jest 1621, z tych 1485 stałych i te właśnie są szczelnie zajęte. Reszta miejsc wolnych — przeznaczona dla gości zagranicznych, studentów, którzy przyjeżdżają czasowo na studja, lub Polaków z zagranicy, którzy przechodzą roczny kurs: „wiedzy o Polsce". Warunki płacy są różne. — Spośród stałych mieszkańców, 65 studentów mieszka bezpłatnie, 65 dopłaca tylko po 5 zł miesięcznie, 156 po 10 zł, a 147 po 15 zł, reszta płaci od 20 do 40 zł. Najlepiej wypłacalni są mieszkańcy pokojów jednoosobowych. Są to studenci, zajmujący posady, bądź otrzymujący pomoc z domu.

KĄCIK DLA DZIECI

TAK TO BYŁO

Wybiegły dzieci na łąkę zbierać kwiaty wiosenne, Joalka i jej nierozłączna przyjaciółka Hesia, mały Janek, Rózia i Tadzik, braciszek Joalki. — Znowu wleczesz go z sobą! — sarknęła Hesia — będzie nam tylko przeszkadzał. — Trudno — tłumaczyła Joalka — mama kazała mi go zabrać, zresztą będzie się bawił z Rózią i Jankiem. — Właśnie będzie się bawił! — powtórzyła Hesia — będzie się wszędzie włóczył za nami, przeszkadzał nam, a tyle mam ci do opowiedzenia. — Hesia dziwnie nielubiła Tadzika, choć grzeczny to był i spokojny chłopczyk, ogromnie tylko przywiązany do swej siostry, co drażniło Hesię, chcącą mieć na swą wyłączną własność Joalkę. Hesia nie była złą dziewczynką, ale samolubną i despotyczną, znalazła w Joalce idealną przyjaciółkę, która słuchała jej ciągłych opowiadań, a Hesia umiała opowiadać głównie — o sobie. Jaka jest zdolna, jaka energiczna, zaradna, czego to nie widziała i nie czytała. Tak opanowała Joalkę, że ta przedtem gorąco kochająca swego braciszka, zaczęła go teraz unikać, nie chciała się z nim bawić, utrzymując, że już jest za duża, że jego towarzystwo ją nudzi, że z niego niemądry dzieciak, niezgrabna, tchórz i Bóg wie co mu nie zarzucała. Bolało to Tadzika, nie mógł jednak dopatrzyć się przyczyny zmiany uczuć siostry, bo Hesia była dla niego zawsze grzeczna i nie zdradzała się z swą antypatją, a że tam w kąciku coś z Joalką szeptały nieraz, to kładł na karb „dziewczyńskich" sekretów. Mimo takiego usposobienia siostry, nie zrażał się niem, trzymał się właśnie stale blisko, chcąc jakąś przysługą, zdobyć z powrotem jej serce. I teraz też rozbiegli się wszyscy po łące, ten znalazł przylaszczkę, ten zawilec, okrzykom nie było końca. Szeroka zielona łąka wznosiła się stopniowo i kończyła wzgórzem, z jednej strony łagodnie zaokrąglonem, z drugiej stromem urwiskiem, u stóp którego płynął bystry strumień. — Chodźmy na górę — zawołała Hesia — tam dopiero kwiatów będzie moc! Wszyscy zgodnie pobiegli za jej wezwaniem. Tadzik, widząc, że Joalka zbliża się ku urwisku, zawołał: ostrożnie, Joalko! — Dziewczynka już chciała zawrócić, gdy nagle dosłyszała szept Hesi: — Znowu się ten malec wtrąca, chyba sobie damy radę bez niego, same wiemy, że trzeba się pilnować. — Podniecona słowami Hesi, krzyknęła Joalka: — Nie wtrącaj się do mnie, jak się boisz, to z innych tchórzy nie rób! — i pobiegła za Hesią. Rzeczywiście nad urwiskiem rosły śliczne kwiaty i dziewczynki z zapałem zaczęły je zbierać, nie bardzo patrząc pod nogi. Wtem Hesia krzyknęła, kamień obsunął się jej spod nóg i straciła równowagę, w ostatniej chwili chwyciła Joalkę za sukienkę i dzięki temu zatrzymała się, jednak niespodziewanym tym ruchem przestraszona Joalka zachwiała się i zaczęła staczać się po urwistym brzegu. — Hesiu, ratuj! — krzyknęła. — Chwyć się skały — odkrzyknęła Hesia — ja ci pomóc nie mogę, bobym sama zleciała, pobiegnę po pomoc! — I zawróciwszy na miejscu zniknęła z oczu Joalki. Dziewczynka została sama. Ostatkiem przytomności chwyciła się wystającego kamienia i tak leżała, nie mogąc się poruszyć, bo przy każdej próbie zmiany położenia, osypywała się ziemia koło niej, w dole szumiał strumień i biedna Joalka, ledwo żywa ze strachu, bała się odetchnąć. Wtem usłyszała ciche wołanie: — Joalko, Joalko, gdzie jesteś? — Tutaj — zawołała — jeszcze się trzymam, ale tak mi ręce zdrętwiały, że już nie mogę — zaszlochała. — Trzymaj się jeszcze chwilę — usłyszała znów głos — posypały się kamyki i ktoś zsunął się koło Joalki — ktoś wziął ją za nóżki, oparł je pewnie o kamień i zaszeptał: — Teraz możesz się puścić, suń się ku górze, ja cię będę podpierał. — Usłuchała Joalka, czując ramię podtrzymujące ją i z wielkim wysiłkiem, podpychana, drapać się jęła ku górze. Trwało to strasznie długo, z każdym opadłym kamieniem strach ją porywał, że już spada, ale dobry głos ją krzepił, ręka przyjacielska wspierała i wreszcie znalazła się na górze i padła półprzytomna na trawę. — Joalko, siostrzyczko — usłyszała znów wołanie — obudź się, czy ci się nic nie stało? — Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Tadzika z oczyma łez pełnemi. — To ty! — wykrzyknęła zdziwiona — i aż usiadła — to ty, Tadziku, mnie wyratowałeś? A gdzie tamci? — Poszli po pomoc — odpowiedział Tadzik — zbieraliśmy kwiaty po tamtej stronie, wtem przybiegła Hesia i krzyknęła: Joalka spadła! lećmy po pomoc! — I pobiegła, a tamci za nią. Przeraziłem się ogromnie i pobiegłem nie za niemi, tylko w stronę skąd Hesia przybyła, znalazłem cię, chciałem czekać początkowo aż przyjdą z pomocą, ale zdawało mi się, że tak jesteś wyczerpana, że się długo nie utrzymasz, więc postanowiłem spróbować sam cię wydostać. — I nie bałeś się — przerwała Joalka. — To nie było tak strasznie daleko od brzegu — odrzekł Tadzik — przypatrzyłem się wszystkiemu dokładnie, łatwo cię było wydostać, chodziło tylko o to, byś się nie przestraszyła i nie puściła kamienia, bo wtedy mogłabyś spaść naprawdę. No i jakoś się udało. Ale nie gniewasz się, Joalko, że poszedłem za tobą? — zakończył nieśmiało. — Ja miałabym się gniewać na ciebie — wykrzyknęła Joalka, chwytając braciszka za szyję i całując go tkliwie. — Ty mój dzielny, odważny braciszku. Teraz widzę, jak byłam dla ciebie niesprawiedliwa, czy mi przebaczysz? — Cóż ci mam przebaczyć, Joalko — odparł Tadzio — cieszę się tylko całem sercem, bo widzę, że mnie zawsze jeszcze kochasz. — I nigdy nie przestanę! — zawołała Joalka, tuląc się do dzielnego braciszka.

H. Rostafińska-Choynowska.

Rozwiązanie wierszyka do zgadywania z nr. 2: Dziewczynka, pozbiera, wesoło.

Za dobre rozwiązanie dostanie „Małego Apostoła" — Benio Janicki, Gniezno.

Eli Roesler w Quindtówce za miły liścik bardzo dziękuję. Każdy liścik od Was szczerze mnie cieszy; bardzo dobrze zrobiła Twoja siostrzyczka, że cię namówiła do napisania liściku. Dlaczego w „Małym Apostole" wszystkie historyjki smutno się kończą, tego nie wiem, musisz napisać do Redakcji w tej sprawie. Skoro cię „Kącik" interesuje, napisz mi o czem najlepiej lubisz czytać. Wierszyk prawie dobrze rozwiązałaś, sama zobaczysz na czem polega różnica. A czy lubisz szarady i zagadki?

Stefci Kucharskiej ze Skalmierzyc Nowych dziękuję za liścik i pięknie napisany i bardzo interesujący. Jak ładnie opisałaś szkołę swoją i przedstawienie. Pewno się dobrze uczysz? Czekam obiecanego następnego listu i wzajem cię pozdrawiam.

Jadzia Krzyżanowska w Bydgoszczy zrobiła mi wielką przyjemność ,zawiadamiając o otrzymaniu nagrody i o tem, że właśnie tej książeczki pragnęła, niechże Ci się, Jadziu, wszystkie pragnienia tak spełniają.

Marysi Jordanównie za długi list dziękuję. Czy dostałaś już, kochanie, moją odpowiedź? H. R. Ch.

ŚMIGUS, DYNGUS!

Walka dzisiaj trwa zacięta
Wody płyną strugi!
Z jednej strony Stach ze Zbyszkiem
Jola z Jadzią z drugiej.
„Śmigus, Dyngus" — to ich hasło
A woda ich bronią,
To przed wrogiem uciekają,
To go znowu gonią.
Śmiech wesoły wokół dzwoni
Aż sił już nie staje:
„Śmigus, Dyngus!" — Już mam dosyć! —
— A ja się poddaję! —
Na Mazurki śpieszą zgodnie
Niedawni wrogowie.
Tylko podłoga ściereczce
O bitwie opowie. *H. R. Ch.*

ZAGADKA

W zieloną sukienkę na wiosnę się stroją,
A gdy przyjdzie zima — nagusieńkie stoją?

WESOŁY KĄCIK

— Nie pójdziemy dziś na spacer — mówi mama — bo straszny wiatr. — Szkoda — wzdycha Stefek — a ja wiem co to jest wiatr. — Wiesz? — dziwi się mama. — A tak — wiem. To jest wtedy, gdy się powietrze śpieszy.

Redaktor: Dr. Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. XX. Pallotynów.

Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

WOBEC ZWIĘKSZONEGO NAKŁADU PEWNYCH DZIEŁ OGŁASZAMY

TANI MARZEC I KWIECIEŃ

KTO ZAMÓWI W OKRESIE OD 1-GO MARCA DO 1-GO MAJA R. B. WSZYSTKIE NIŻEJ PODANE KSIĄŻKI LUB WEDŁUG WŁASNEGO WYBORU NIEKTÓRE Z POŚRÓD NICH, OTRZYMA JE Z RABATEM 50%, A WIĘC

ZA PÓŁ CENY

ZAMAWIAJĄCY WSZYSTKIE 30 KSIĄŻEK PO JEDNYM EGZEMPLARZU PŁACI ZAMIAST 37 ZŁ 70 GR TYLKO 15 ZŁ. KOSZTA PRZESYŁKI PONOSI ZAWSZE ZAMAWIAJĄCY.

Zgłoszenia wyłącznie w Wydawnictwie Księży Pallotynów, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71, P.K.O. 14.664.

	Cena katalogowa	Cena zniżona
1. MAJEWSKI Alojzy Ks. P. S. M., **PRZEWODNIK DO KOMUNJI ŚW.**, wyd. 15, str. 319, w oprawie płóc. Książeczka eucharystyczna, którą najchętniej posługiwać się będą przystępujący często do Komunji świętej.	1.80	—.90
2. HIRSCHHAUEROWA Janina, **MODLITWA PAŃSKA**, str. 94 .... Proste, lecz piękne medytacje na tle Ojcze nasz i Zdrowaś Marjo. Każde rozważanie kończy się pełną przejęcia modlitwą.	—.50	—.25
3. SKRUDLIK M. Dr., **PATRONKA WARSZAWY**, str. 46 .... Książeczka ta jest ważnym przyczynkiem do studjum kultu Bogarodzicy w Polsce pod wezwaniem Matki Boskiej Łaskawej.	—.40	—.20
4. HUMNICKA J., **ŚWIĘTA MONIKA**, wyd. 2, str. 29 .... Zwięzły popularny życiorys matki świętego Augustyna.	—.30	—.15
5. BORAWSKI Aleksander, **KRÓLOWA JADWIGA NA WAWELU**, str. 78, z 31 ilustracjami .... Szkic historyczny, napisany przez byłego kustosza zbiorów na Wawelu i wszechstronnego artystę. — Dziś sprawa beatyfikacji Jadwigi jest na ustach wszystkich. Serca polskie z radością śledzą każdy krok naprzód na drodze ku chwale ukochanej królowej.	1.—	—.50
6. MAJEWSKI Alojzy Ks. P. S. M., **RÓŻE ŚW. TERESY OD DZIECIĄTKA JEZUS**, wyd. 5, str. 227, z 7-ma ilustracjami .... 365 krótkich rozmyślań na wszystkie dni roku. Składają się one ze zdań — istnych pereł myśli — zaczerpniętych z listów i notatek „Małej Świętej".	2.50	1.25
7. LUCAS Józef Ks. P. S. M., **Z BIEGIEM ROKU**, tłum. Włodzimiera Jarochowska, str. 133 .... Wnosi dużo nowego ciepła i światła do monotonnego, szarego życia w ciągu całego roku nie przez kazania i długie nauki, ale przez krótkie, zajmujące, prawdziwie na czasie i nowoczesnym stylem napisane nowelki, tchnące głębokością myśli i zdrowym humorem.	1.50	—.75
8. LUCAS Józef Ks. P. S. M., **RADOŚĆ ŻYCIA**, tłumaczył Dr. J. Lipkowski P. S. M., wyd. 3, str. 73 ...... Każda stronica tej książeczki tchnie radością życia, nie ową frywolną, lekkomyślną, — lecz szczerą, prawdziwą radością dziecięcia Bożego.	—.80	—.40
9. S. P. M. Ks., **Z KSIĘGI PIELGRZYMA**, str. 152 .... Trzy cykle rozważań na tematy religijne i moralne. Wychodząc od zjawisk życia codziennego, zwracają naszą myśl ku Bogu.	1.20	—.60
10. MANNA PAWEŁ O. misjonarz apostolski, **ZA MAŁO ŻNIWIARZY**, z oryginału włoskiego przełożył X. S. P. M., str. 267 .... Ks. Arcybiskup Nowowiejski, w przedmowie do tej książki, pisze co następuje: „Potrzeba nam jej było. Wprawdzie się mówi i pisze wiele o potrzebie Misyj, o środkach, które dają nam możność osiągnięcia pragnień, serca nasze tłoczących, i o wielu innych rzeczach, które wskazują drogę do Misyj, ale takiej książki, któraby ujmowała wszystko w jednem dziele, nie mamy. Niechże więc ta książka „Za mało żniwiarzy" szerzy te pojęcia, które nas prowadzą do najszlachetniejszych celów na ziemi. Wydał ją Związek Misyjny Duchowieństwa w Polsce — dla kapłanów i dla świeckich".	2.40	1.20
11. GATTERER Michał T. J. X. Dr., Prof. Uniw. w Innsbrucku, **ZWIERCIADŁO LITURGICZNE**, zasady i wskazówki, z przydaniem niektórych uwag spolszczył X. Dr. Jan Korzonkiewicz, str. 79 ..... Skromny podręcznik dobrego tonu liturgicznego, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla kandydatów do stanu kapłańskiego. Pragnie on im ułatwić wyuczenie się funkcyj liturgicznych, wyjaśniając odnośne postawy ciała, ruchy rąk i t. d., a obok tych rzeczy zewnętrznych wykazując ducha tych ceremonij.	—.70	—.35
12. ŻELAZOWSKI Stanisław Ks., Prof. Sem. Warszawskiego, **PODSTAWOWE WIADOMOŚCI O PIŚMIE ŚWIĘTEM**, str. 112 .... Broszura ks. prof. Żelazowskiego poucza w sposób przystępny dla każdego, jakie ogólne wiadomości trzeba posiadać, aby, czytając Pismo św., zrozumieć jego tekst i ducha.	—.80	—.40
13. GAWORECKI Bogumił br., **KATECHIZM ZAKONNY**, str. X + 251 W krótkich rysach omawia autor naturę stanu zakonnego, śluby, sposoby postępowania z ludźmi i nawet reguły grzeczności.	3.—	1.50
14. PUCHALSKI Feliks Ks. Dr., **KAZANIA PASYJNE**, str. 32	1.20	—.60

	Cena katalogowa	Cena zniżona
15. **IDEA BOGA,** cykl odczytów, str. 132 Cykl odczytów, wygłoszonych w Tygodniu Filozoficzno-Religijnym dla młodzieży akademickiej w Warszawie na tematy następujące: Pierwotny monoteizm według świadectw etnologji. Idea Boga w świetle psychologji empirycznej. Naturalne uzdolnienie człowieka do poznania Boga w świetle objawienia. Idea Boga w najstarszych księgach Biblji. Idea Boga w nauce Jezusa Chrystusa według ewangelij synoptycznych. Idea Boga — pierwowzorem życia moralnego. — Odczyty powyższe zostały wygłoszone przez wybitnych uczonych, profesorów Uniw. Warszawskiego, z J. E. Ks. Biskupem Szlagowskim na czele.	2.—	1.—
16. **DUSZPASTERSTWO MIEJSKIE,** pamiętnik kursu duszpasterskiego w Warszawie w 1929 r., str. 308 Książka podaje referaty, wygłoszone na zjeździe, na tematy następujące: Rola duszpasterza w większem mieście. Organizacja nowej parafji i budowa kościoła. Znajomość parafji w mieście. Praca kaznodziejska, misje i rekolekcje. Nabożeństwa: urządzanie i uporządkowanie nabożeństw głównych i dodatkowych. Spowiedź, Komunja święta. Posługi kościelne: chrzest, pogrzeb, ślub. Duszpasterz a problem świętowania po miastach. Przeciwdziałanie zepsuciu. Akcja Katolicka w miastach. Akcja oświatowa i prasa parafjalna. Duszpasterz a pijaństwo. Duszpasterstwo wśród młodzieży rzemieślniczej. Akcja charytatywna w parafji. Duszpasterstwo w środowiskach robotniczych. Praca duszpasterska nad inteligencją w wielkich miastach. Duszpasterz a kwestja kobieca. Opieka pasterska nad służbą domową. Praca duszpasterska nad katechumenami i konwertytami. — Wybitni prelegenci oświetlają tu wszechstronnie zagadnienia, aktualne dla każdego duszpasterza.	2.50	1.25
17. ENCYKLIKA LEONA XIII PAPIEŻA **O MAŁŻEŃSTWIE CHRZEŚCIJAŃSKIEM,** Arcanum div. Sapientiae..., str. 31	—.30	—.15
18. ZALESKA Z., **WSPÓŁCZESNY KIERUNEK WYCHOWANIA PUBLICZNEGO,** str. 29	—.30	—.15
19. SUDBRACK K. Ks. T. J., **SZKOŁA A WCZESNA KOMUNJA ŚW. DZIECI,** praktyczne rozwiązanie zagadnienia w Holandji, tłum. z oryg. niemieckiego Rolita, str. 71 Broszura przedstawia jasno i wyczerpująco wszędzie tak aktualną sprawę.	—.60	—.30
20. BRODOWSKI Feliks, **STOKROTKA MATKI BOSKIEJ, O BIEDNEJ, SUCHEJ WIERZBIE I JEJ MIESZKAŃCACH,** str. 36 Dwa opowiadania ludowe.	—.30	—.15
21. AHASFER X. [Ks. Żyskar], **TUNKA,** opowiadanie o wsi Tunka, gdzie było na wygnaniu przeszło 150-ciu księży, oparte na wspomnieniach naocznych świadków i odnośnych dokumentach, str. 183 Wzruszające wspomnienia z wygnania w kraju burjackim po powstaniu 1863 r.	2.—	1.—

	Cena katalogowa	Cena zniżona
22. ERMITE Pierre L', **JAK ZABIŁAM MOJE DZIECKO,** przełożył z francuskiego W. Weyssenhoff, str. 279 Znakomity francuski pisarz katolicki maluje w tej pięknej powieści rozpacz matki, która przyczyniła się do moralnej i fizycznej śmierci jedynego syna, przeszkadzając mu pójść drogą powołania kapłańskiego. Świetna psychika takiego załamania się. Doskonała książka dla rodziców, którzy wzbraniają dzieciom pójść za wezwaniem Bożem.	2.50	1.25
23. MIERZEJEWSKA Marja, **WŚRÓD RAF KORALOWYCH,** powieść, str. 105 Fantastyczna powieść podróżnicza na tle przeżyć Polaków na oceanie Spokojnym, u brzegów Japonji i Australji.	1.—	—.50
24. ZALESKI Hieronim, **NA ROZDROŻU,** powieść, str. 224 Ta sama miłość, z jaką postacie powieści Marji Rodziewiczówny wytrwale pracują na ojczystym zagonie, cechuje też wybitnie powieść Hieronima Zaleskiego.	2.—	1.—
25. MACHAY Ferdynand Ks., **HONORNI ORAWIACY,** szkic powieściowy, str. 126 Powieść bardzo zajmująca. Czytelnik zapozna się w tej powieści z ludem naszym, żyjącym na karpackich rubieżach naszej Ojczyzny, pozna jego narzecze i życie. Książka godna polecenia.	1.50	—.75
26. GROCHOWSKA Wanda, **TAJEMNICA WIEJSKIEJ CHATY, powieść,** str. 191 Wzruszające przeżycia dwojga prostych serc.	2.—	1.—
27. GROCHOWSKA Wanda, **SERCEM I SZABLĄ,** opowieść z lat ostatnich, wyd. 2, str. 100 I ta powieść wyszła spod pióra zasłużonej autorki, przeto daje dużo zdrowej treści, ozdobionej barwnym stylem i żywą charakterystyką osób.	—.70	—.35
28. KORDYASZ Tadeusz, **PRAWDZIWE NIEPRAWDY,** str. 93 Jest to pamiętnik, w którym autor pomija banalne nieraz wydarzenia dnia, notuje natomiast bardzo trafne i głębokie swe refleksje — pamiętnik myśli, który innych myśleć uczy i patrzeć otwartemi oczyma w życie.	—.80	—.40
29. MARGOŃSKI A. X., **MIÓD ŻYWI I LECZY,** str. 57 Polecenia godna praca. Autor omawia tu wszechstronne zastosowanie lecznicze i wzmacniające tego naturalnego środka leczniczego. Czemu dotychczas tak mało korzystamy z cennego miodu? — bo nie poznaliśmy jego wartości. Dlatego broszurka niniejsza powinna się znajdować w każdym domu.	—.60	—.30
30. MAŁYSZKO Adolf Płk., **WALKA GAZOWA,** zastosowanie gazów trujących w czasie wojny i w czasie pokoju, str. 78, z 14 ilustracjami Autor przedstawia tu w sposób popularny wszelkie rodzaje gazów i omawia szczegółowo środki ochronne. Druga część dziełka omawia niezmiernie ciekawe zagadnienie zastosowania gazów w leśnictwie, ogrodnictwie i w lecznictwie.	—.50	—.25

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

SZARADA WIELKANOCNA

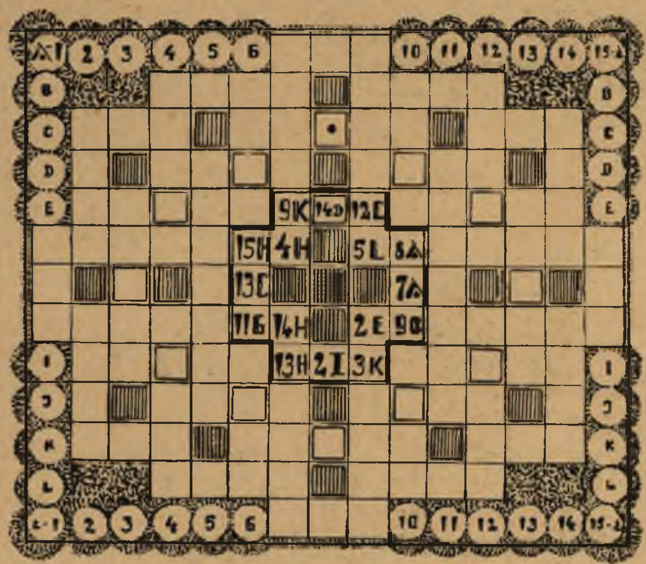
Czy ludzie są w **trzy-czwartym** pojąć
ofiarę Twą, o **Piąty-czwarty?**
Że świat przez mękę i śmierć Twoją
został z piekielnych bram wydarty?
Raz Drugich, z Krzyża, coś go dźwigał
sześć Drugich Boskich barkach, Chryste,
trzy-cztery nowa z Bogiem Liga,
Przymierze nowe i wieczyste.
Gdzież przepych tonów albo rymów,
co uczci Cud nieogarniony:
Całe — nad grzechem — śmiercią triumf?!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na Alleluja biją dzwony.

„John Ly" (czł. Kl. Sz.).

KRZYŻÓWKA Z KONIKÓWKĄ

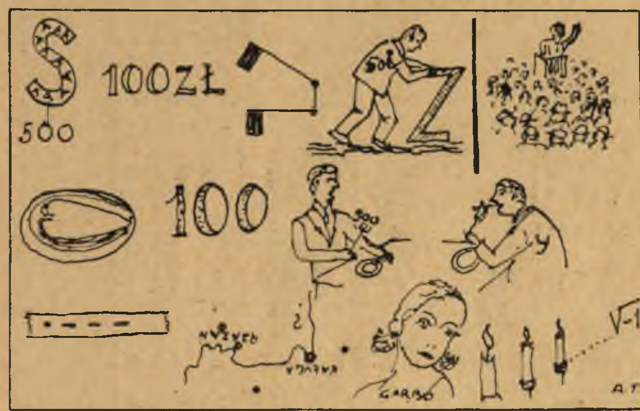


Po prawidłowem rozwiązaniu krzyżówki, otrzymamy dwa rozwiązania: 1) z liter w kratkach obramowanych w krzyżówce, które począwszy od kratki z kropką, należy odczytać ruchem konika szachowego w kierunku zegarowym; 2) wynikające z konikówki wewnątrz figury, którą należy wpierw uzupełnić literami krzyżówki, odpowiednio umieszczonemi (początek w kratce obramowanej).

Znaczenia wyrazów. P o z i o m o: A 7. Położyć się. B 4. Kościół parafjalny. B 9. Daszek nad kominem w kuchni. C 2. Miasto w belgijskiej prowincji Liège. C 6. Lampka wisząca. C 12. Miasto na Mazowszu pruskiem. D 4. Schowek na pieniądze. D 9. Zasadzka (pułapka). E 1. Sprzążka. E 10. Stary ród szlachecki polski. F 1. Doza (pewnej ilości). F 11. Były minister polski, niedawno zmarły. H 1. Ozdoba muzyczna w l. mn. H 11. Starożytne miasto na wybrz. Azji Mniejszej. I 2. Dusza w języku martwym. I 10. Odkrywca bieguna północnego 1909. J 4. Bożek wojny. J 9. Dopływ Dunaju w Bawarji. K 2. Pr. dopływ rz. Oranje w Afryce. K 6. Znawca i taksator win. K 12. Sztuka po łacinie. L 4. Odmiana kwracu. L 9. Port w Algierze. Ł 7. Pr. dopływ Rodanu. — P i o n o w o: 1 F. Podanie bajeczne. 2 C. Inaczej: Saksonowie. 2 H. Oprawa obrazu. 3 C. Zamachowiec rosyjski (zamach na Pawła I). 4 B. Pokutnik hinduski. 4 H. Jodła karpacka. 5 D Klątwa kościelna. 6 B. Gatunek (odmiana np. zwierząt). 6 I. Korab. 7 A. Kapłan Buddy w Tybecie. 7 J. Przetaki. 9 A. Marka rewolwerów. 9 J. Gaz szlachetny. 10 B. Część ciała. 10 I. Część w języku martwym. 11 D. Koza, karmiąca Zeusa. 12 B. Imię królów frankońskich. 12 H. Opust w cenie. 13 E. Nabrzmiałość (puchlina). 14 C. Ogólna nazwa chemiczna mnóstwa związków chem. 14 H. Pracuj igłą, wspak. 15 F. Niedobra.

M. Rossa.

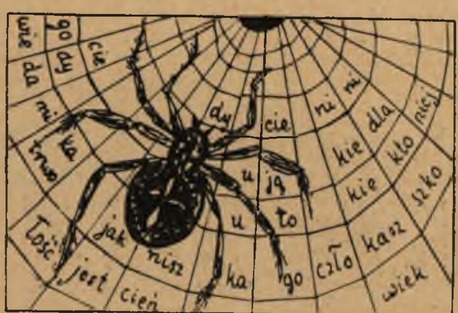
REBUS



Treścią rebusu jest złota myśl St. Wyspiańskiego, złożona z 9 wyrazów. Dla ułatwienia podajemy sylaby rozwiązania w porządku alfabetycznym: **ce, ci, cza, czło, du, dy, gwia, ja, je, ko, li, nie, przez, ser, świe, sza, wie, zda.**

A. Telatycki.

SYLABÓWKA



Z sylab, rozrzuconych w kratkach pajęczyny, należy ułożyć czterowiersz (wyjątek z poezji J. Niemcewicza). Dla ułatwienia podajemy początkowe litery wyrazów: **M, j, j, c, c, s, k, d, n, w, t, k, j, g, u, k, u, t, g.**

„Liga".

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe**. Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU LUTOWEGO 1936.

Ślimacznica: **Światowa Olimpjada tegoroczna w Garmisch Partenkirchen.**

Rebus: **Pięćsetlecie słowa drukowanego.**

Nagrody książkowe otrzymują: **p. J. Trompeteler** z Otwocka i **p. St. Bogucki** z Warszawy.

KAŻDY SZARADZISTA

powinien zaopatrzyć się w **„Tablicę alfabetów: chorągiewkowego, palcowego i Morse'go"**, niezbędną w układaniu lub rozwiązywaniu zadań. Nabyć można w **„Klubie Szaradzistów", Warszawa, Żulińskiego 7-10**, po cenie **50 gr.**

„ROZRYWKA"

(organ Klubu Szaradzistów) nr. 4 (40) **kwietniowy** o bogatej treści doborowych zadań, opuścił już prasę. Prenumerata kwartalna 2 zł. Konto P. K. O. nr. 2048 lub przekazem rozrachunkowym. Adres: **Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10.** Pojedyncze numery w kjoskach „Ruchu". **Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych.**

M. Sł.

WESOŁY KĄCIK

FORMALISTA.

Mała stacyjka. Z pociągu wysiada tylko jeden pasażer. Przy wyjściu kontroler odbiera bilety. Gdy pasażer oddaje swój bilet, kontroler zawołał głośno:

— Proszę pokolei, proszę się nie tłoczyć!

— Kto się tłoczy? — zdumiewa się pasażer — przecież oprócz mnie nikogo więcej niema!

— Nic na to nie poradzę! — odpowiada bileter — taka jest instrukcja, a ja się muszę stosować do przepisów!

W PEWNEM BIURZE AKCYJNEM.

— Pan nie zapominaj o tem, że pracuję dla honoru, a pan pracujesz dla pieniędzy.

— Owszem, pamiętam o tem, że każdy pracuje na to, czego mu brak.

DOBRY POMYSŁ.

Zegarmistrz: Jakto, przynosi mi pan tylko wahadło? A gdzie zegar?

Klient: Został się w domu, bo zegar jest dobry, tylko wahadło nie chce chodzić.



CENTRALA K. K. O. POW. BŁOŃSKIEGO W GRODZISKU. — CHWILA PRZERWY W ZAŁATWIANIU INTERESANTÓW. — (UL. KILIŃSKIEGO 25-A, GMACH WŁ.).

Cena ogłoszeń zatekstowych: ¼ str. —zł 700, ½ — zł 380, ¼ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.	Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank	Inne kraje	7 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.